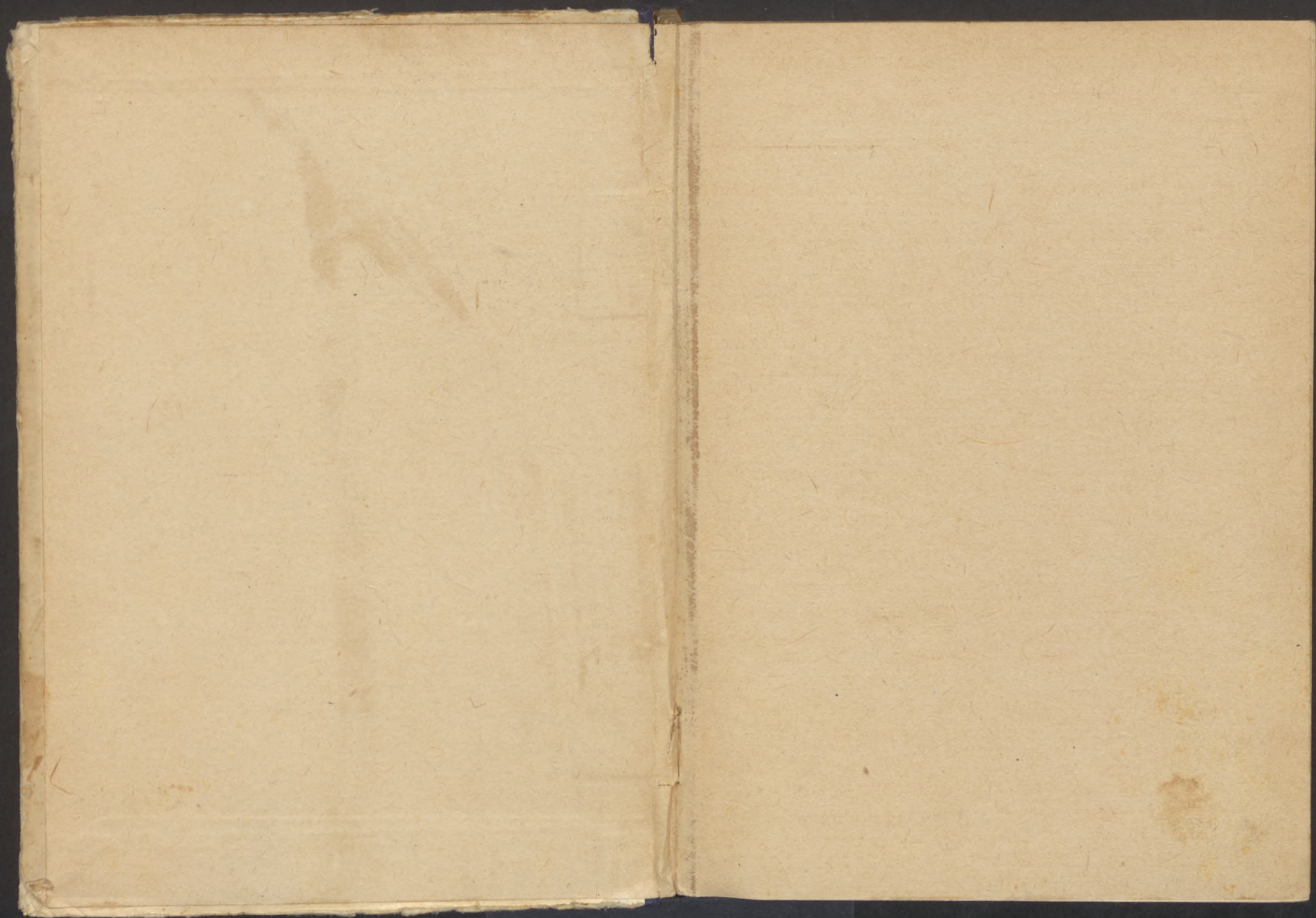




W. SERAFINOWICZ

URZĘDNIK



URZĘDNIK

588 360

WACŁAW SERAFINOWICZ

URZĘDNIK

POWIEŚĆ



WARSZAWA
BIBLIOTEKA GROSZOWA

1930



847812

Polska Drukarnia w Białymstoku, Sp. Akc. ul. Ś-go Rocha 3

D.450/2007

Rozdział I

— Jakiś pan taki socjalista, to oddaj pan biednym swoje futro; tylu biedaków bez palt chodzi.

— To nie ma nic do rzeczy.

— Naturalnie, jak chodzi o was, to nic nie ma do rzeczy; z drugich tobyście ściągnęli.

Pan Edward skrzywił się:

— Ściągnął z pana jakiś socjalista kiedy palto?

— A czy to mało było wypadków! W piątym roku nietylkoście palta ściągali, ale mordowaliście ludzi na wszystkich ulicach; z zegarkiem nie można było wyjść.

Pan Edward wpadał w coraz większą złość. Wogóle żałował, że wdał się w dysputę z tym starym csem. Otworzył szufladę: wyjął kałamarz, suszkę, pióro.

— Jeśli ktoś nie odróżnia środków ideowych od zwykłego bandytyzmu, to wogóle trudno rozmawiać.

— Ładne środki! Na ulicy nie można było być pewnym życia i jeszcze Idea!

— No, jakoś pan dotąd żyjesz!

Piławski udał, że nie słyszy ostatniej uwagi.

— Idea, bardzo piękna idea, nikt wam nie przeczy... Równość. POCO socjalizm, poco mam się brać z byle chamem... Jezus Chrystus, panie, mówił — równość!

Małecki, rozkładając papiery, gwizdał sobie zci-cha pod nosem.

Pilawski już monologował na cały wydział. Był to ten sam wydział, który i dziś jeszcze prawie w niezmienionej szacie oglądać możecie; zwykły wydział obrachunkowy jednego z ministerstw w roku „marczkowym“ pożał się, Boże, dwudziestym.

— Równość, a dwudziestokilkoletni chłopak siwych włosów nie potrafi uszanować.

Pan Edward przymrużył oczy, szukając pilnie czegoś w aktach:

— Jak nam siwe włosy przeszkadzają, to możemy wcale nie mówili?

Pilawski sponsowił

— Dlaczego? W pysku toście przecie wszyscy siłni!

— Tylko nie w pysku!

— O, socjalista, a jaki wytworny.

— Tylko nie w pysku!!

Panna Helena skrzywiła się z niesmakiem. Małecki jednak przestał zwracać uwagę na damy. Wstał z krzesła...

Nagle drzwi do wydziału otworzyły się, i sam pan szef Galicki stanął in medias res.

Pan Edward usiadł zpowrotem, siadając jednak

rzucił na przeciwnika wzrok, pełen pogardy i wyższości. Pilawski tymczasem nałożył okulary i, przykładnie wyjąwszy ołówek, strugał go z pedanterją, oparłszy o róg biurka i stukając szczyrykiem. W wydziale zapanowała cisza. Wszystkie głowy pochyliły się nad rachunkami: cały pokój drgał szeptem bez końca wymawianych liczb, miarowym i monotonnym jak cykanie zegara, beznadziejnym jak szum kropel wody, co z starych ściekają rynien... Dwanaście a dziesięć — dwadzieścia dwa, a jedenaście — trzydzieści trzy, a trzy — trzydzieści sześć, plus osiem? — czterdzieści trzy... Pauza, coś źle. Półotwarte, miarowo jak u ryby poruszające się usta zwierają się na chwilę w przykrym grymasie, a wytrzeszczone oczy, co w pobożnym skupieniu chłoną wiecznie tę nieprzerwaną pajęczą nić cyferek, przygasają nagle; rozczarowanie, coś źle, nie zgadza się, więc jeszcze raz: Dwanaście a dziesięć — dwadzieścia dwa, a jedenaście — trzydzieści trzy, a trzy — trzydzieści sześć, plus osiem... Czterdzieści cztery! Leciutki, rozkoszny dreszcz przebiega przez piersi; triumf! jedyny triumf urzędnika od jedenastej do ósmej kategorii, ha! ha! czasem i wyżej, został odniesiony. I znowu szept, prędszy, pilniejszy, jakgdyby koniecznie coś trzeba dogonić, coś, co oddala się coraz dalej, dalej, za każdą mniejszą zwłoką.

Proszę się nie śmiać — nawet urzędnik buchalterji czy izb obrachunkowych ma trans, w który wpada czasami w chwilach, wolnych od obgryzania pa-

znokci. I biegnie całym jestestwem gdzieś daleko przed siebie, przez cały szereg arkuszy, rachunków, pozycy, podsumowań; skacze przez niezliczoną moc przeskód formularzy, przyczynków i odnośników. „W ślad za pismem z dnia x miesiąca y roku ypsilon dziennika rozporządzeń wewnętrznych, takiego i takiego ministerstwa zawiadamia się...“ I rośnie olbrzymia przeszkoda, a za nią wciąż nowa i nowa, powstała z przepaścistych głębin bezmyślności ludzkiej, ambicyj wielu, do wielu sprzecznych kompetencyj i wzrostu pozycy rozchodów, nie przychodów! Za koszyk do papierów dla pana Ministra wczoraj x, a dziś już x2 tysięcy.

I kręci się cała śmieszna karuzela, w zawrotnym pędzie leci wszystko—nie wiedzieć dokąd. O, nie, przepraszam, pan szef Galicki domyśla się; gotów jest nawet kazać zreferować ten kawałek. Tak, tak, po miesiącu już wiedzieć będzie. To jest pozycja A—B—C.

Jak miło jednakże jest być szefem wydziału. Siedzi się, nic nie robiąc, za największym biurkiem; od 9-tej do wpół do dwunastej patrzy się przez okno, potem się pije herbatę, potem odwiedza kolegów lub samemu przyjmuje.

Ho! ho! czy to jeszcze kilka lat temu myślał człowiek tam, w Bochni, kim będzie dzisiaj. — Dzisiaj pan szef Galicki ma trzech urzędników pod sobą i dwie takie „szae kobitki“. Siedzą ci „panie dziejku“ przy stołach i robią, co on rozkaże, a on coraz nowe, coraz to lepsze wymyśla „koncepty“. Ot, choćby

wczoraj. Kazał im ponakładać czyste „koszulki“, sprawdził sam osobiście, czy niema jakich „usterek“, czy wszystko w porządku, i co? nie! Choćby im jeszcze masę innych kazał robić „kawałków“, wszystkim ci „panie dziejku“ zrobią, bo jest szefem.

Chociaż nie wszystko tak znowu, jakby chciał Galicki. Ta Helena Rudzińska, naprzykład, lubi pokazać czasem rogi. Złości to nawet pana Piotra, ale cóż robić. Ojciec Heleny jest tak, jak Galicki, szefem wydziału, a nawet w większym poważaniu u pana radcy. Trudno, trzeba czasem patrzeć przez szpary na różne sprawy, żeby samemu nie piętrzyć sobie trudności. Co do innych jednak pan Piotr ma zupełnie carte-blanche. Zwrócił piorunujący wzrok na drzwi, które, lekko skrzypnąwszy, uchylły się.

Stanisław Osowski cichutko na palcach zmierzał do swego biurka.

Nagle urzędowy głos szefa szarpnął nim wtył: — No, wie pan, dwadzieścia po dziewiątej?

Stanisław za całą odpowiedź zaczerwił się. Cóż miał zresztą mówić: Matka mu w nocy zachorowała, koń z wozem się przed tramwajem wywrócił, prądu zabrakło, wszystko to było stare i znane jak świat i dawno od szkolnych czasów obmierzło już Osowskiemu. Szybko rozebrał się i demonstracyjnie prędko rozkładał papiery.

— A pan co właściwie robi w tym tygodniu? — nie zadawałnając się pierwszą uwagą, niespodziewanie zaindagował go szef.

Urzędowy ton zwierzchnika nie wiedzieć dlaczego znów zmieszał Stanisława. Przytem wszystkie oczy zwróciły się na niego. Odpowiedział, ale dopiero po dłuższej chwili.

— Właśnie wczoraj skończyłem rachunki za grudzień.

Galicki skrzywił się. Bezsilne podejrzenie, że Stanisław próżnuje już od kilku dni, szarpnęło jego ambicją. Szkoda jednakże, że to nigdy nie można wiedzieć, czy oni co robią, czy wogóle nic nie robią. Był zły:

— Więc pocóż pan tam szpera w tych papierach? Niech pan weźmie część aktów od którego z kolegów.

— Mogę dać panu styczeń do sprawdzania.

— Nie, nie, niech pan weźmie coś od panny Kamińskiej.

Wzrok szefa z wyraźnem niezadowoleniem zesłizgnął się po wypomadowanej lepetynie pana Edwarda: „Ten zawszeby sobie ulżył. I tak pewnie szelma najmniej ze wszystkich rabi“.

Stanisław zbliżył się do Maryli. Wybierał z nią jakieś rachunki, lecz był zdezorjentowany i zły z obrotu sprawy. „Cóż go się czepiał dzisiaj ten bałwan. Ważny!... Od tygodnia jest szefem i robi wielkiego. Poczekaj! pobędziesz tu dłużej! I tak już więcej robię, niż powinienem, a ten pewnie myśli, że mu bakę świecę. Psiakrew!“

Wziął papiery i wracał do biurka, dostrzegł jed-

nak, że wzrok Maryli ścigał go z pewnem współczuciem; to odebrało do reszty humor panu Stanisławowi. Siadł doć hałaśliwie przy biurku, okazując niejako w ten sposób swoją złość na osła szefa i na tę głupią Maryłę. „Ona bo zawsze się tylko boi. Rozumiem — myślał — że może komuś zależeć na posadzie, ale żeby wybierać takie stopy rachunków i drzeć o byle głupstwo... Zresztą to jej interes, ale na niego niech oczu nie wybałusza. Takie wiecznie przestraszone oczy! Wielkie co, mogę jeszcze sam cbrugać tego osła! Nie tu, to gdzie indziej, zawsze posadę znajdę“.

Powoli rozkładał rachunki. Ach, jak mu już wogóle obmierzło to biuro. Ustawicznie wmawiał w siebie, że tę posadę traktuje tylko czasowo. Skończył przecież szkołę, był już na pierwszym roku agrommji, i tylko warunki tak się złożyły, że musiał czasowo przerwać studia. Ale to czasowo przedłużało się coś za długo. Nie mógł spokojnie myśleć o tem, jak dobrze mogło się wszystko ułożyć i jak źle było teraz. Gdyby ojciec żył, nie byłoby żadnej przerwy, nie czułby się wykolejony

Tak, czuł się wykolejony i to z dwóch powodów: Prędewszystkiem dlatego, że wogóle w pewnym wieku mężczyźni lubią czuć się wykolejonymi, po drugie, musiał przecież po śmierci ojca żyć z czegoś i z czegoś utrzymywać matkę... Psiakrew! Gdyby nie to, za kilka miesięcy skończyłby już wszystko, zdał egzaminy, wziął jaką intratną dzierżawkę; jeździłby

sobie po polu, polował w lesie; inne życie, wesoło, swoboda. Tak! tyle już razy mówił sobie, że trzeba raz z tym skończyć, a nic nie zdołał przedsięwziąć, by choć o krok posunąć sprawę naprzód. Dwa lata już gnął w tem idjotycznym biurze, w tej całej zapowietrzonej buchalterji, i gryzł się tylko coraz więcej, i coraz mniej jakoś miał sił, by przeciwdziałać temu. Czasami w chwilach apatji myślał nawet, że to jest niemożliwe. Chodzić do akademji rolniczej, odbywać ćwiczenia praktyczne; znaczyło to mieć dziennie dorowczo kilka godzin wolnego czasu, podczas których zarobić trzeba było na utrzymanie siebie i matki. Wszelka posada w tych warunkach była wykluczona.

Korepetycje — myślał... Nie znosił korepetycji! Zresztą wyliczył już przecież matce z ołówkiem w ręku, że przy obecnych cenach niema mowy, końca z końcem nie zwiążą. Sytuacja zdawała się Stanisławowi beznadziejną. A jednak psiakrew! Sam zna przecież ludzi, ma nawet dawnych kolegów, którzy przy tych cenach żyją, dobrze żyją i czasu mają multum. Paskują! Już wszystko jedno, niech nawet paskuje, ale niech się raz ta nędza skończy. Sam nawet czas jakiś próbował handlować. Sprzedał futro po ojcu, dwa garnitury: jeden jasny angielski marynarkowy, drugi surdutowy. Kupił sobie za to nowe kamasze (bo w starych już nie mógł chodzić), za caluteńką zaś resztę nakupił od koleżanek spirytusu, ha, nawet przelicytował kilku amatorów, tak, iż otrzymał wkońcu kilkanaście butelek i cztery pełne

urzędnicze deputaty... No i co? Zajęło go to z początku; obliczał już, ile powinien wziąć za wszystko, a jednak? Guzik! Suma sumarum nie zarobił ani grosza, tylko tymczasem ceny podskoczyły, a pieniądze się jakoś rozlaży. Jeszcze dotąd przed pierwszym je na obiad i na kolację ten pęczak deputatowy, którego nikt nie chciał kupować. Potem spróbował innego sposobu. Przecież do djabła można jakoś żyć znośnie. Matce już nawet nie mówił o tem, ale ten głupi Edward Małecki miesiąc w miesiąc dorabla sobie drugą pensję, to wyścigami na wiosnę i w jesieni, to bilardem i kartami; uczciwie, zupełnie uczciwie! Ale i z tego nic nie wyszło, z żalem tylko stwierdził wkońcu Stanisław, że Edward nie oszukuje, ale ma naprawdę szczęście, którego jemu brak.

Drugi rok, drugi rok już dobiega, jak przyjął tę posadę. Teraz, gdy sobie przypomniał ten pierwszy dzień w biurze — uśmiechnął się złośliwie. Tak, przecież to na kilka miesięcy, myślał, dopóki z temi cenami się czego nie zrobi. Jedną Marylę znał w całym wydziale, a nawet częściowo przez nią otrzymał posadę. Zawiadomiła go wporę o wakującym miejscu, złożył pierwszy podanie na ręce szefa departamentu którego ponoć kiedyś, jak zapewniała matka, znał jego ojciec. Powołał się. Został przyjęty.

Ten pierwszy dzień! Pracował tak zawzięcie, że na sekundę nie powstał nawet z krzesła. Maryla nawet nie rachowała tak intensywnie. Pamięta, jak go dziwiło wtedy niepomiernie, że taki Piławski, Sapiń-

ski wychodzą sobie na przeciąg kwadransa na papierosa. Małcecki podczas śniadania musiał zawsze przeczytać całą gazetę, a Helena całymi godzinami robiła sobie manicure. Tak, tak, teraz już się nie dziwi — jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie, ale wtedy całe popołudnie rozmawiał z Marylą na ten temat: — Za co ta Rudzińska bierze pieniądze?... To jest poprostu okradanie skarbu państwa — mówił — brak etyki.

Wgółe głupi byłem — skonstatował Stanisław. — Helena ma może najwięcej poczucia etyki i bezsprzecznie jest najinteligentniejsza, a przede wszystkim najsubtelniejsza z tej całej branży. Zresztą, ona nie interesuje się tem całym głupim biurem, nie tak, jak Maryła. Zerknął w stronę Kamińskiej — haruje całe sześć godzin jak koń dorożkarski, a jeśli przypadkiem prędzej skończy, to sama lizie po nowe. Zresztą, gdzie jej tam do Heleny! Przedewszystkiem jest zacofana gęś i szewcko denerwująca tą wieczną swoją robotą; nawet w domu nie usiedzi spokojnie.

Spojrzał na Helenę. Jej nadmiernie szczupła figurka wydała mu się stylową. Rudzińska czytała książkę, pochylona nad szufladą. Miała niewyraźnego koloru włosy, zarówno zresztą jak oczy i cerę; wąskie usta, w grymasie których Stanisław dopatrywał się rasowości, zagryzione w kątach, dowodziły upośr. a cienka, lecz o dużej stopie noga bynajmniej nie znamionowała rasy. Teraz wyczuła widać na sobie wzrok Stanisława, gdyż odwróciła na chwilę twarz w jego stronę i, uśmiecchnąwszy się, za chwilę znów pogra-

żyła się w czytaniu, czując jednak na sobie wzrok Osowskiego, nie siedziała już spokojnie. Od czasu do czasu poruszała brwiami, to znów nozdrzami, to sznurowała usta, na setkę jej tylko znanych sposobów

Bardzo jest ładna i bardzo stylowa — stwierdził (bo tak chciał) Stanisław. Oczami przebiegł resztę sali. Czasami nawet dwunastej kategorii urzędnik pozwalał sobie na tego rodzaju zabawę. Zabawa polegała na tem: Trzeba się całą swoją osobą na chwilę odseparować od otoczenia i spojrzeć, o ile możliwości, obiektywnie na pograżonych w pracy współkolegów. Do tego trzeba mieć zdolność; zdolność taką w pewnym stopniu, choć z znaczną domieszką krytycyzmu posiadał pan Stanisław, zwłaszcza, że przynależał do dziesiątej kategorii płacy, a jak już zauważyłem, nawet urzędnik dwunastej potrafił się w rzadkich wypadkach zdobyć na coś podobnego. Otóż coś podobnego pomimo pozorów niewinności jest rzeczą bardzo złośliwą, lecz równocześnie czegoś podobnego żadna władza bez względu na jej kompetencje, niema możliwości zabronić.

Pan Stanisław więc spojrzał! Spojrzał na Piławskiego. Piławski właśnie ruchem prawej ręki podniósł obsadkę do nosa, lewa zaś przy pomocy dwóch palców usiłował ściągnąć jakiś pyłek, który złośliwie przyczepił się do stalki. Był nad wyraz skupiony, a czynność swoją przedsięwziął z taką skrupulatnością i nabożeństwem, jakgdyby los całego świata zależał

od zdjęcia tego pyłku. — Zdjął!!! Twarz urzędnika wyrażała najwyższy zachwyt.

Tak musi wyglądać wcielenie głupoty — pomyślał Stanisław i kiedy Piławski zabrudzone atramentem palce wycierał o głowę, spojrzął na Małeckiego. Małecki był czemś pilnie zajęty. Zdziwiłoby to mogło każdego, ta intensywność pracy zdziwiłaby nawet pana Galickiego, gdyby patrzył w tej chwili, ale nie Stanisława.

Podpisuje się — stwierdził. Zresztą Małecki trzy czwarte papieru, który przypadał na niego z miesięcznego zapotrzebowania, przeznaczał do tej funkcji. Do jakiej funkcji przeznaczał pan Edward pozostałą jedną czwartą część, zamilczmy w tem miejscu.

Osowski westchnął i powiódł wzrokiem w kierunku samego szefa. Co to?! Pan szef coś robił. Stanisław przypomniał sobie najrozkoszniejsze lata dzieciństwa, kiedy jako pierwszoklasista na lekcji kaligrafji, wywaliwszy język, pisał:

Warszawa jest Wielkiem miastem. W nocy Wszystkie koty szare. Wezuwjust jest Wielkim Wulkanem.

Pan szef Galicki adresował kopertę.

Stanisław patrzył; niewiele brakowało, by się rozrzewnił. Tak samo, zupełnie tak samo! I pióro, i głowa, i język tak samo przekrzywione, tylko język niepomiernie większy.

„A gdybym mu tak dał w pysk! Tak, poprostu, nie mówiąc nic, wstał od biurka przeszedł przez wy-

dział i rąbnął zniecka. Ciekawym, coby było?... — Nicby jednak być nie mogło, bo więcej niż rewolucyjne zamaski pana Stanisława nawet dla niego samego nie miały najmniejszych danych na urzeczywistnienie się. Przychodzą jednak czasami takie myśli, pies wie dlaczego, ale przychodzą. Jeszcze w szkole na lekcji „Niedźwiedzia“, myślał czasami Stanisław, „a gdybym tak wstał z ławki, wyjął rewolwer...

W wydziale było cicho, nawet turkot uliczny, przeciągle wycie tramwajów przepadły za szybami, w głuchą zapadłszy gdzieś studnię.

— Właściwie już czas na czajnik.

Osowski wyrwał się z zamyślenia. Przeciwno takiemu hasłu Piławskiego nikt nigdy nie oponował. Galicki spojrzął na srebrny zegarek i schował go bez słowa. Była to pełna aprobata. Wszystkich oczy zwróciły się na Marylę. Kamińska szeptała jeszcze czas jakiś, sprawdziła ostatnią pozycję i, cicho wstawszy, wyszła z wydziału. Urzędnicy odsunęli papiery.

Stanisław wraz z innymi wyjmował z szuflady swą filiżankę. Na dnie był osad od herbaty. „Właściwie nie mam powodu dzisiaj do pucowania tego garnka i tak sobie nic do herbaty nie kupię. Nie będę pił! Żałował już, że dał się wczoraj unieść hrabskiej fanaberji i poszedł do teatru. Baba z koszykiem, pełnym pieczywa, weszła do wydziału. Otoczono ją natychmiast; wybierane kajzerki trzeszczały zachęcająco w brudnych palcach Piławskiego.

— A wędlinę pani ma?

— Jest tutaj salceson i pasztetowa. Pasztetowa świeżutka.

— Pan nic dziś nie kupuje, panie Stanisławie?

— Nie, proszę pani, nie mam jakoś apetytu. Kłamał zresztą. Baba miała w koszyku solanki, a właśnie na solanki miał wielki apetyt.

— Może pan nie ma pieniędzy? Mogę panu pożyczyc, przecież to głupstwo.

— Nie, nie to, najserdeczniej dziękuję, panno Helu. Zupełnie serio nie mam apetytu.

— A jutro będzie pan na balu? — zapytał Małcki.

— Tak, będę. Mówiłem panu już przecież raz.

— No, tak, mógł pan przecież jednak zmienić zamiar.

To bydlę! W porę się wyrwał z pytaniem. Teraz będę musiał całe popołudnie latać za pieniędzmi. Muszę być na tym balu. Żeby nie uradzili we trójkę z Helą, że pójdą jutro, byłby został w domu, a tak — wyda się, że groszem nie śmierdzi. Djabli go skusili wczoraj na ten teatr.

— Widziałam pana wczoraj w teatrze, panie Stanisławie.

— Naprawdę, nie spostrzegłem pani.

— Był pan tak zajęty sztuką. Pan często chodzi na poważniejsze rzeczy?

— Dość często — z zadowoleniem kłamał Stanisław.

Przydał się jednak ten teatr, czuł, że ta rozmo-

wa podnosi jego prestiż w wydziale. Byle tylko nie zechciała go pytać, na jakich był sztukach. Wogóle nie bywał prawie nigdy w teatrze. Czasami, gdy był przy flocie, chodził po południu na Fertnera. Jak mię zapyta o Moliera albo Szekspira, tom wpaść.

Niepotrzebnie jednak obawiał się pan Osowski. Panna Rudzińska pomimo tonu, jaki sobie nadawała bywała wyłącznie prawie w kinie, a wczoraj dostała kartkę darmową od ojca, który ją dostał znów od swego kolegi, Maślakiewicza. Maślakiewicz był urzędnikiem w magistracie i po południu trudnił się kontrolerstwem w kasach teatrów. Helena nie chciała iść nawet z początku na to „darmidło“. Dostała jednak drugi rząd krzesel. Kucharki nie wypadało posłać. Przytem miała właśnie nową suknię.

— Jakże się panu podobała sztuka?

— Owszem, wie pani, bardzo.

— Dosyć psychologiczna.

Cudowny wyraz! Drogi czytelniku, czyś zauważył, ile razy to jedno słowo ratuje cię z najgłupszej nieraz sytuacji, ile ma w ustach twoich treści, ile odcieni, zależnie od tonu, jakim je wymawiasz. Psychologiczna jest sztuka, psychologiczna książka, psychologiczne są wszystkie twoje myśli; każdy fakt zależnie od twych upodobań jest mniej lub więcej psychologiczny, psychologicznemu są przedewszystkiem dla ciebie wszelkie rzeczy, których nie zdołasz ogarnąć swym małym mózdzkiem. Nie oburzaj się, drogi czytelniku, o ile się myślę, lecz przyznaj sam. Mówisz

o wielkiej literaturze, a od ławy szkolnej nie czytałeś nic. Przepraszam, nie! odwołuję, czytałeś „Alraune“ Ewersa, „Nasze sojuszniczki“ Farrère'a, te boskie „Rzeczy Wesołe“ Makuszyńskiego i Boy'a. Tu widzę, jak mrugasz dyskretnie, znacząco. Na przeszło sto tomów jego biblioteki znasz — co znasz? No, słówka! Mówisz, że piękną jest Gioconda, choć ma dla ciebie urok kucharki; mówisz o pięknych kształtach Milońskiej Venus, choć ma dla ciebie brzuch za sze-roki i nogi za grube.

Jedna jedyna rzecz jest dla mnie w tem wszystkim wysoce psychologiczna, jak ty, kochany inteligencie, co mówię — esteto! potrafisz — no, bądźmy szczerzy, potrafisz nie kąpać się po kilka miesięcy.

— Zauważył pan jednak, jaką ta artystka miała suknię?

— Zauważyłem. Bardzo mi się podobała.

Helena skrzywiła się lekko. — Wie pan w kabaretach jednak są ładniejsze stroje; przytem na tamtą wczoraj poprostu patrzeć się nie mogłam. Ona ma jakiś defekt w figurze. Nieprawda?

— Bardzo możliwe, ale przyznam się pani, że nie zauważyłem.

O, biedny panie Stanisławie! Sympatja, jaką się cieszyłeś u panny Heli, spadła o całe pięćdziesiąt procent. Panna Helena była zarozumiała na punkcie swojej figury.

Rozdział II

— Ale toto, to chyba panience wycisnę!

— Co znów za toto?

— Ano dwa węgry, takie, jak łby od szpilek, ma panieczek „regularnie“ na samiusieńkich plecach.

Helena cała oblała się ponsem, jakby ją kto wyjął z kotła z gotującą się bielizną. Wzięła zręczne lusterko i ustawiła je tak, by mogła się z tyłu przejrzeć w dużem lustrze. Służąca mówiła prawdę, nawet nie przesadziła. Widok był za bolesny dla panny Rudzińskiej — stryjecznej prawnuczki szambelana Jakóba Rudzińskiego. Położyła zpowrotem lusterko.

— Wycisnij!

Gdy Marja wpiła swoje grube paznokcie w jej kark, nie syknęła nawet.

— Jednakże ta moja bluzka granatowa jest za gruba, niema w niej żadnego przewiewu. Pocę się, a później ot, co! — Skończyłaś?

— Już! Widzi panienska?

— Daj mi spokój!

Helena wyjęła puder i grubo nim przysypała kark i plecy. Starła się zapomnieć o tym, tak na-

zbyt niemiłym fakcie. Dobrze, że miała jeszcze sporo roboty z tualetą. Bal musiał się już rozpocząć. To nic; spóźni się, będzie to nawet lepiej wyglądać. Taka Czcińska napewno przyleci punktualnie.

Wzięła od Marjanny różową jedwabną suknię. Gdy zapinała haftki nad piersią, zauważyła, że koronka od kołnierzyka była w jednym miejscu zlekka rozdarta.

— Ach, na śmierć zapomniałam. Zaszyj to prędko, tylko tak, żeby znać nie było...

Rzeczywiście, Helena zapomniała na śmierć, że ostatni raz, kiedy miała na sobie tę suknię, omal że nie zapomniała się na śmierć. Rozkoszne wspomnienie tej chwili mieszało się w niej z uczuciem głębokiego żalu i zranionej ambicji.

— Żeby chociaż był kilka słów napisał. W pierwszych dniach usiłowała wytłumaczyć go przed sobą. On miał przecież taki inny niż wszyscy charakter, taki nie codzienny. Przytem sam jej kiedyś mówił, że niezawsze można pisać. List bywa często świętokradztwem, tak, dobrze pamięta — świętokradztwem dla uczuć jakie przeżywaliliśmy wczoraj. Ale to wczoraj już bardzo dawno minęło, a on nie przyjeżdżał, nie dawał o sobie nawet znaku życia. Podejrzente, że zlekceważył sobie wszystko to, co było między nami, wżarło się w duszę Heleny i z kolei kazało podejrzewać go o najgorsze zbrodnie, obdzierać ze wszystkich wawrzynów, w jakie ubrała go sama. W końcu panna Rudzińska zapragnęła zemsty, zemsty wyrafi-

nowanej, zimnej. Dlatego przecież od jakiegoś czasu kokietowała zlekka Stanisława, dlatego i jeszcze dla innego powodu ośmielała go względem siebie. Może nie wszystko ze względu na konsekwencje nadsyła się do druku, dufając jednak, iż najściślejsza tajemnica Heleny i jej rodziców nie stanie się tajemnicą poliszynela, zobowiązawszy cię najpierw, czytelniku, do milczenia „pod słowem honoru“, wyznam jednym tchem:

Panna Helena Rudzińska liczy dwadzieścia osiem lat z ogonem!...

Hę... Gdybym tą tajemnicą podzielił się z którym z kolegów panny Rudzińskiej, obiegałaby ona lotem błyskawicy wszystkie wydziały buchalterji, stałaby się powodem podziału na dwie partje urzędników, poruszyłaby na kilka dni wszystkie umysły, dopóki by nie przyszła jakaś nowa wiadomość. Na przykład, że pan szef departamentu nie skończył dwudziestu jeden lat.

Wracając jednak do rzeczy, proszę państwa — dwadzieścia osiem lat z ogonem dla panny, to nie „śmiszki“, i nic dziwnego, że taka nawet Helena w braku wymarzonego ideału gotowa była oddać swą rękę i wogóle wszystko panu Stanisławowi.

Któż to był ten wymarzony ideał Heleny, jakie miał zewnętrzne i wewnętrzne przymioty, któremu czarował tak wybredną pannę. Nazywał się Grabowski, co mówi tyle samo, co Malinowski, bezsprzecznie jednak lepiej brzmi. Cierpliwości! Był amantem,

typowym lirycznym amantem średniej sfery z tej najgłupszej pod słońcem amatorskiej farsy, jaką jest życie. Nie wiem, jak zwali się amanci wkońcu zszłego wieku, nie wiem, jak zwać się będą w wieku przyszłym, lecz w pierwszej połowie dwudziestego stulecia prawdziwy amant sfery, o której mówię, zwać może się tylko trojako: Kazimierz, Jerzy i Janusz.

Chwileczkę. Nie przeczę, że Kazimierz odpada bezwzględnie w tym wypadku. Kazio jest śmiesznym poniekąd typem amanta, pozbawionym silnych, właściwych męskiemu charakterowi rysów. Jest to jedynym imię dla pięknych, rozlazło filigranowych kołanków różnych heter i histerycznych colombin. Jerzy jednak... no, Jurek... Jur, nie możecie nic chyba powiedzieć. Ale ideał Heleny nazywał się *JANUSZ!!* Powierzchność pana Janusza Grabowskiego była zupełnie zadawalniająca, i nawet krawiec, kiedy pan Janusz przymierzał u niego nowe spodnie, mawiał zwykle: „Ale też nóżki i talję ma pan jak na wystawę“.

Pan Janusz nie odpowiadał nigdy na takie uwagi, bo aczkolwiek każdy gentleman zezwala na pewne spoufalenie się z sobą krawca, u którego stale się ubiera, jednak uwaga taka była w rozumieniu Janusza tylko należnym mu hołdem, po którym niezwłocznie należało przejść do porządku dziennego. Przytem Grabowski oddawna wiedział, iż cały jest jak na wystawę — tylko frak wieszac.

Nie będę się długo rozwodził nad opisem twarzy pana Janusza. Twarz jest rzeczą ważną dla aman-

ta, ale nie najważniejszą. Kształtna, starannie przyczyszczona głowa, dobrze osadzony nos, smętny (choć może o zbyt tępem spojrzeniu) oko, sceptycznie zagryzioną wargę, ucho, ~~nie~~ wszystkich tych rzeczach mógłbym pisać do rana.

Przejdźmy jednak do ostatniej strony charakterystyki ideału Heleny, strony wewnętrznej.

Jeszcze mój wuj, nieboszczyk mawiał zawsze: Nigdy nie można wiedzieć, co właściwie w kim siedzi, i źle jest sądzić, gdyż łatwo można przecenić lub skrzywdzić człowieka.

Szanuję niezmiernie zdanie wuja nieboszczyka: jestem ostrożnym pisarzem, któremu mocno zależy na tem, aby przy końcu powieści nie zarzucono mu kłamstwa; dla tych więc wszystkich powodów zamilknę i żadnych wyjaśnień nie dam w tej materji.

Drogi czytelniku, wybac mi więc, gdyż i tak nic nie wskórasz. — Przytem zastanów się: Janusza jeszcze niema w Warszawie, bo się gdzieś zawieruszył, nie masz nawet pewności, czy wogóle przyjedzie; a ja już tyle o nim pisałem. Wprawdzie i ty w biurze piszesz zawsze prawie o rzeczach, których jeszcze niema i nie masz nigdy pewności, czy wogóle kiedy będą. Ale zważ, proszę, że Hela wybiera się na bal, że jest godzina wpół do jedenastej, że stróż lada moment może bramę zamknąć!... Zastanów się nad tem, bądź gentlemanem i pozwól nam iść już raz na ten bal wydziału...

— A skądże tu się wziął Pilawski — Stanisław wskazał Małeckiemu starszego kolegę. — Myślałem, że on już dawno chrapie w domu.

— Phi... nie bójcie się. Musi mieć w tem jakiś skryty interes, jeśli sie tu przyczłapał. Fagasuje tak Szacińskiemu, że aż ręka świerzbi.

— To Szaciński tu jest? — Stanisław poczuł, że traci humor.

— A naturalnie, widziałem go. Cóż ten kretyń potrafi robić innego.

Małecki nie wahał się mówić głośno, gdyż stali na uboczu w ministerjalnym ustępie, służącym jednocześnie za palarnię i za najmilsze miejsce zebrań wszystkich urzędników niższych kategorii.

— Myślałem, że on gdzie na reducie.

Pan Edward wydał wzgardliwie wargi.

Wogóle o wszystkich szefach wyrażał się z lekceważeniem, ale Szacińskiego nie znosił przedewszystkiem. Może właśnie analogja charakteru w zestawieniu z wysokim stopniem służbowym zwierzchnika wpłynęła na jego antypatję.

— Wiecie, że on po uszy w długach siedzi, przytem zerznął się w karty. Szklanki wody sodowej nie kupiłby sobie na reducie.

— Co on tu koło Krupskiej się kręci?

— Ee, stare dzieje; z Krupską oddawna skończył już kombinować: zresztą, prawdę mówiąc, to ona znów nie jest taka ładna.

Pan Stanisław nic nie odpowiedział. Zdanie Ed-

warda co do Jadwigi wydało mu się naiwnym paradoksem. Małecki lubił czasami coś tak strzelić dla oryginalności. Krupska była powszechnie uznaną za piękność ministerjalną, i chociaż Osowski nie był jakoś z początku olśniony zbyt barocową urodą sekretarki ministra, z biegiem czasu podporządkował się innym, tak, że dzisiaj wszelki inny pogląd na tę sprawę poczytywał już tylko za chęć wylamania się z pod reguł, powszechnie obowiązujących.

— Poco więc Szaciński przylazł dzisiaj?

— Ja wam coś powiem....

Lekki niepokój polechtał ciekawość Stanisława. — No?

— Widzicie, mnie się zdaje, że on od kilku tygodni na kogo innego poluje.

— ?

— Jeszcze nie jestem pewny, bo ona wcale nie jest zresztą ładna, ale zakazany owoc, i to go właśnie bierze.

— Któż to taki? — Stanisława już denerwowały te omówienia kolegi.

— Znacie ją i dobrze.

— Krukowska?!

— E tam, Krukowska, wstrętne pudło! Z naszego wydziału.

— Niemożliwe!

— A ja wam mówię, że możliwe.

— Maryla?

— Gdzie tam! Maryla była niebrzydka, kiedy

zaczęła pracować, teraz wychudła, że tylko deska. Do Rudzińskiej się zabiera.

— Nie wierzę!

— To nie wiercie. — Pan Edward poczuł się urażony, gdyż uważał się za nieomylnego w wyszukiwaniu wszelkiego rodzaju tajemnic. — Idziemy na salę?

— Poczekajcie, skończę papierosa.

Stanisław był sto razy bardziej zły na Małeckiego, lecz jednocześnie za wszelką cenę chciał wy badać, czy Edward ma rzeczywiście jakieś realniejsze podstawy do podejrzeń. Z trudem usiłował być dyplomatą.

— Dlaczego mówicie: zakazany owoc?

— No, bo tak, pod bokiem ojca. Gdyby co wskórał, zostałby donjuanem.

— Ale przecież mówiliście, że ona mu się nie podoba.

— Nie mówiłem, że mu się nie podoba, tylko, że nie jest ładna, a czy się podoba czy nie, temu idjocie, to ja nie mogę wiedzieć. Zresztą z tego i tak nic nie będzie.

— Dlaczego? — Stanisław nieznacznie odechnął.

— Bo ona nie jest znów taka głupia. Szaciński się z nią nie ożeni, a jeśli jej dobrze nie nakiwa, w co mi się nie chce wierzyć, to tak dla pięknych oczu się znów nie puści.

Pan Stanisław spodziewał się jednak znaczniejszą pociechę usłyszeć w słowach kolegi.

— Chodźmy stąd! — Chciał zaraz brać palto i uciec stąd jak najprędzej; wstydził się tylko Edwarda. — POCO tu przylazłem — czuł, że i w domu nie mógłby usiedzieć spokojnie. Ach, jakie to wszystko głupie i jakie świństwo. Żeby to raz wszystko dżuma wymordowała!..

Weszli na salę. Muzyka grała foxtrotta. Stanisław zauważył, że wszystkie panny ze wszystkich wydziałów były bardziej etykietalne niż w biurze; koledzy zaś nadawali swym fizjognomjom wyraz wesela i donjuanerii. Nawet szefowie, co młodszy złożyli swoje godności i z przesadną grzecznością zwracali się do dam, w stosunku do których zwykle zachowywali się jak pruscy feldfeble; jak bał, to bał.

Pan Edward na wstępie zaraz opuścił Stanisława. Kelnerskim ruchem poprosił którąś pannę do tańca, której suknia wydała mu się najbardziej drogoczną. Osowski miał zamiar skorzystać z osamotnienia i zwiąć czem prędzej. Ale dokąd miał iść? Przytem czuł nieprzewartą chęć ujżenia jeszcze Heleny. — Zaczekam na nią. Ukłonię się zdaleka i wyjdę. Tak będzie najlepiej. W tłumie tańczących ujrzal Szacińskiego; balansował dumnie, nie bacząc na nikogo, lekceważąc sobie wszystkich w przekonaniu, że i tak jest przedmiotem pożądań wszystkich dam.

— Małpa! — Stanisław z jakąś dziwną przyjemnością przyglądał się młodemu szefowi sekcji i z

dziwnym uporem stwierdzał, iż ten jest zgrabny i przystojny. — Małpa! — myślał jednak równorzędnie. A może jednak to prawda, co gadał Edward, że Szaciński dlatego tak jedzie do góry, że jeszcze za czasów C und K żył tam we Lwowie z wice ministrem. Męska prostytutka! Nie zazdroścę Rudzińskiej. W bezsilności swojej oskarżał ją jeszcze więcej niż jego.

— Nie ukłonię się nawet, tylko się spojrzę i wyjdę.

— Dobry wieczór panu!

Drgnął — tak, to ona. Stała w przedpokoju i zdejmowała kapelusz. Pomimo woli wszedł do korytarza.

Podąfa mu bardzo uprzejmie rękę.

— Dawno pan przyszedł?

Nie zdążył odpowiedzieć; Szaciński, jakby wyrósł z pod ziemi, znalazł się przed Rudzińską:

— Pozwoli pani służyć sobie? — Stał odrazu w pozycji, gdy zdejmowała palto.

— Proszę — odrzekła sucho, oddając okrycie. — Pan, panie Stanisławie, ma mi dziś cały czas towarzyszyć. Nieprawda?

Osowski zaczerwienił się po same uszy.

— Co tylko pani rozkaże.

— Protestuję, stanowczo protestuję, panno Helu. Rekwiruję panią z miejsca do foxtrotta.

— Przykro mi bardzo, ale to się nie da zrobić.

Mam tylko jedno pragnienie, by pan Osowski wskazał mi miejsce, gdziebym mogła odpocząć.

— Stanowczo więc pani odmawia?

Stanisław spiorunował wzrokiem Szacińskiego, tak jednak nieszczęśliwie, iż ten tego nie zauważył.

— Najzupełniej stanowczo!

Szaciński schylił się w ukłoncie.

— Ha! trudno, trzeba ustępować przed kapryсами dam, lecz od dziś między nami wojna.

Pogroził filuternie palcem i, wykręciwszy się zręcznie na pięcie, zniknął w głębi sali. Odcychając jednak, rzucił zimne przelotne spojrzenie na Stanisława.

Helena wzruszyła ramionami. Stanisław czuł, że cały jego zły humor prysnął bezpowrotnie. Potoczył zwyciężskim okiem po sali. Oto, jak się sprawa przedstawia! Błazen ten cały Szaciński, a Małcki plotkarz i świnia...

Pan Edward tymczasem, odprowadziwszy na miejsce swoją danserkę, przechadzał się, rozglądając się po sali. Młody socjalista zauważył, że towarzystwo nie stoi na poziomie jego wymagań. Damy miały perfumy, że pożał się, Boże; Panowie nie mieli pojęcia, co to jest dobrze skrojony garnitur i przyzwoite manieri. Nagle do uszu jego z kąta balowej sali, służącej w dni powszednie za urzędniczą kantinę, dobiegły słowa, które na ustach jego wywołały uśmiech pogardy:

— Bo to już takie „nastali“ czasy, że na najmniejszą rozrywkę nie można sobie pozwolić.

Małecki odwrócił się nagle. Córka woźnego z prezydium, praktykująca od niedawna jako urzędniczka dwunastej kategorii, rozmawiała właśnie z jakimś nieświadomym młodym człowiekiem.

— Ładne czasy „nastali“ — z naciskiem powtórzył pan Edward.

— „Wi pan“, ja Szacińskiego znałam jeszcze dawniej, zanim zaczęłam pracować. „Szedłam“ właśnie „do alej Ujazdowskich“, a on krok w krok cały czas za mną. Przy Pięknej „doszedł“ do mnie. Taki był śmieszny...

— O, moja ty królowo! — syknął Edward, jak to kokietuje tego durnia, a za Szacińskim toby z zamkniętymi oczami poleciała.

— Servus, Edek!

— A! Ziuta. Pi... Piii... Ale toś sobie krótką suknię sprawiła. Pewnie Szacińskiego tak kokietujesz.

— A tybyś chciał, żeby może ciebie?

Pan Edward nie chciał, bo już raz w zeszłym roku chciał i miał, czego chciał, przytem o Ziucie mówiono już zcicha, że tam ona niezupełnie w porządku, wiadomo, ten Serejski... Zbył skrytą ofertę. — Słyszałem, że już niema żadnej urzędniczki w ministerstwie, którejby Szaciński nie korcił. Kręci się też cymbał jak ten król.

— Daj spokój. Jest bardzo szykownym mężczyzną i bardzo przystojnym.

— Bardzo! Patrzeć nie mogę już na tę gębę.

— Tyś zato ładny!

Pan Edward oddalił się. Argument był silny. W tych warunkach wogóle trudno dyskutować. Idiotka! Dość już miał sali tańca. Zapragnął nie widzieć tego, na którego oczy wszystkich dam były skierowane. Wstąpił do bufetu. — Napiję się kilka kieliszków, starczy mi.

Ile tu dymu. Rzeczywiście dymu było tyle jak w wędzarni. Skroś sine smugi, widać było nabiegłe krwią twarze starszej generacji urzędniczej. Jak śmiesznie wyglądają. Zapadłe, suchotnicze piersi poruszają się krótkim, skrzeczącym śmiechem, który wybucha raz po raz przy wychyłanych kieliszkach „czystej leczniczej“. Czerwone uszy, szklące się, przekrwione oczy, rozjaśnione oblicza, wszystko to robi nad wyraz komiczne wrażenie i wszystko to dziwne się wydaje w tych nawpół martwych, jakby z biurowej tektury wyciętych postaciach. Panowie się czują swobodnie; tu niema przystępu żadna etykieta, niema prawie dam, a zresztą wszystko jedno.

— Panie szanowny! jeszcze nam jedną kolejkę.

— Z kropelkami?

— Uchowaj Boże! Pięć sztywnych!

Znowu wybuch śmiechu; pan szef powiedział dowcip, pan szef jest dzisiaj przystępny. Niech żyją kawalerowie!!!

— Proszę panów troszeczkę ciszej. Już drugi raz przysyłają z sali, że tańczyć zupełnie nie można.

— Ho! ho! ho! Pan Galicki zatyka panu Lipińskiemu usta i siłą prowadzi go do ustępu.

— Spił się! jak Boga kocham, spił się! — krzyczy starszy brat pana Lipińskiego, klepiąc się po kolanach. To opera! Junjor Lipiński z sąsiedniej już ubikacji odpowiada bratu. Nie zdążył. Pan Galicki, śmiejąc się do rozpuku, ściska go za głowę.

— Ciszej, proszę panów!... Na kredyt dać możemy jeszcze tylko cztery butelki.

— Dawać je tu!

— Pojutrze płatne.

— Niema pojutrze, po pierwszym, po pierwszym!

Pan Edward po ostatnich słowach szybko przejechał się do bufetu. Po drodze popchnął łokciem Pilawskiego, nie przeprosił go nawet. Od wczorajszej rozmowy nie zamienił z nim ani słowa.

Pilawski nie pił jeszcze prawie wcale. Nie mógł sobie pozwolić ani za gotówkę, ani na kredyt, chyba, że ktoś postawił. Trudnił się tutaj właściwie zapalaniem papierosów wszystkim grubszym rybom albo tym, którzy mieli jakieś wpływy. Było już po dwunastej. Pilawski nic dotąd właściwie nie wskórał i z nikim nie zdążył zamienić ani słowa: co do tej ósmej kategorii. Żonie wprawdzie powiedział, by uspiła bachory i nie czekała na niego, bo idzie z wizedy do szefa. Nie tracił jeszcze nadziei. Był ten Galicki wytrzeźwiał trochę, to poprosi go na stronę na chwilę. Czwooro dzieci i od roku wciąż na tej dziewiątce.

Edward wychylał właśnie drugi kieliszek. — Jednakże to jest typowe „endeckie“ lizusostwo. Stary człowiek i żeby tak fagasować byle smarkaczowi. Tylko patrzy, komu ma przynieść kieliszek.

— Drogi panie Pilawski, pan będzie tak dobry i poda nam pan tę tackę... O, najserdeczniej dziękujemy. No, było nie było, jedną kolejkę z nami.

Lipiński podał Pilawskiemu pełny kieliszek. — Obyśmy zdrowi byli!

Pilawski wychylił do dna z głupowatym uśmiechem.

— Ho! ho! zuch! Stary, ale zuch. Nie boi się żony.

— A propos żony. Panowie, słoweczko! — ryczał dobrze już podpity pan referent Kołakowski. — Ciszej!: Franio Lipiński ma czternaście dziewczynek w wydziale, trzynaście panien, a teraz jedną mężatkę...

— Ho! ho! ho!

— Ciszej, do diabła! Wczoraj mówię do niego. No, tym dzierlatkom to wiem, że nie przepuścił, ale mężatce...

— Ho! ho! i z tą już było, ale jeszcze będzie. Ho !ho!

— Ciszej! Już było! W miesiąc, panowie, po ślubie!

— Hihihih! Wiwat Franio!...

Stanisław wbiegł do przedpokoju po torebkę Heleny. Był w siódmym niebie; cały czas siedział tylko z nią samą. Szybko szperał między paltami.

— Moje uszanowanie! Jakże się panowie bawią?
— Sam pan minister we własnej osobie i we własnym futrze stał przed Stanisławem.

— Najserdeczniej dziękujemy, doskonale! — Osowski powiedział odruchowo w liczbie mnogiej, bo i pan minister powiedział w liczbie mnogiej. Stałi jednak tylko we dwójkę w korytarzu.

— Pan minister pozwoli, że mu pomogę zdjąć futro...

— Bardzo dziękuję. Tak tu ciemno, że w pierwszej chwili nie poznałem pana. Zdaje mi się jednak, że pan... pan... — wyciągnął do Stanisława rękę.

— Osowski!

— A tak, Osowski Czy to nie pański ojciec był rejentem w Lublinie?

— Mój! Właśnie mówiła mi matka, że pan minister.

— Tak. Znałem pańskiego ojca. Miałem kiedyś sprawę i ojciec pański pomógł mi w znacznym stopniu. Przepraszam, że pytam, ale to tak dawno. Pański ojczulek, naturalnie, żyje jeszcze?

— Nie, umarł podczas okupacji.

Pan minister zatrzymał się w przedpokoju. — Co pan powie! Wszystkich nas ta okupacja zgryzła. A pan, przepraszam, bo zapomniałem, dawno już u nas pracuje?

— Już dwa lata.

— I w jakiej kategorii?

— W dziesiątej, panie ministrze.

Pan minister wyjął z kieszeni chustkę, wytarł nosa, spojrzął do środka i schował. Stanisław czuł najwyraźniej bicie serca.

— Proszę pana, teraz możliwe, że się otworzy awans. Pan będzie łaskaw za jakiś tydzień zgłosić się do mnie.

— Panie ministrze, nie wiem poprostu, jakimi słowami mam dziękować...

— Ale cóż znowu; będzie mi bardzo miło coś zrobić dla pana.

Pan minister uściśnął spoconą z wrażenia rękę Stanisława i szybko udał się na salę.

Nawet najwięksi dostojnicy miewają czasem niczem nieusprawiedliwione szusy.

Co za szczęśliwy dzień! Trzęsącemi się rękami Stanisław namacał palto Heleny i, wyjąwszy torebkę, wybiegł czem prędej.

Wejście ministra zrobiło na sali pewne wrażenie. Para za parą przestawały tańczyć. Mężczyźni podpierali mury; panie siedziały skromnie. Muzyka urwała, i rozmowy stały się przyciszone.

— ...Wie pan, panie Edwardzie! minister przyszedł.

— Już wiem panno Helu. Rozmawiałem z nim przez dziesięć minut w korytarzu. Okazuje się, że on nietylko znał, ale był poprostu przyjacielem mego ojca jeszcze w Lublinie. Sam mi mówił, że ojciec wiele mu dopomógł, i pierwszy mi się przypomniał.

Panna Helena spojrzała na rozgrzowaną

twarz Stanisława i nie była pewna, czy ten zamiast iść do szatni nie zbłądził do bufetu. Lecz właśnie pan minister przechodził koło nich. Widząc wytrzeszczone na siebie oczy Stanisława, odpowiedział mu uśmiechem i nawet skinął nieznacznie głową.

Wszelka wątpliwość zgasła w duszy Heleny.

— Przyrzekł mię popierać... — Muzyka zagrała znowu. Pan minister przeszedł do bufetu, co zresztą można było wyczuć z całego rumoru i szurgania stołków, jakie słycać było tam za drzwiami. Stanisław opowiedział wszystko Helenie.

— Właściwie powinienem zacząć u niego bywać — rąbał już bez zastanowienia. Zresztą z nadmiaru wrażeń wszystko mu się pomieszało w głowie. Nie wiedział już sam, co zbujal, a co miało miejsce na serjo.

— Niech mię pan już odwiezie do domu! Tu jest duszno i gorąco ogromnie.

— Może pani pozwoli do bufetu na szklankę lemoniady?

— E, nie chcę, tam sami mężczyźni. Już lepiej chodźmy; i tak nie mogą tańczyć.

— Dlaczego?

— Pan przecież nie tańczy — kokieteryjnie w uśmiechu przechyliła głowę.

Stanisław za całą odpowiedź utopił swoje rozszerzone źrenice w jej szarych oczach.

— Minister już wyszedł — usłyszał poza sobą.

— Chodźmy!

Nie pił nic, a szedł przez salę, jakby zlekka ululany. Podając Helenie palto, zerknął jej ztytu pod bluzkę. zdawała się nie spostrzegać tego, czegoż się miała żenować. Marianna przecież...

— Wie pani, jakie to dziwne, znamy się przecież blisko dwa lata, a jeszcze nigdy tak miło nie rozmawialiśmy z sobą.

— To jest poniekąd zrozumiałe, biurowa atmosfera nie uspasabia przyjemnie.

— Jak to dobrze, że jednak jutro niedziela.

— No, pewnie, inaczej biuro byłoby dla mnie zabójcze. Jestem ogromny śpioch. — Znowu uśmiechnęła się powłóczyście do Stanisława i przeciągnęła się w dorożce...

Jakiś czas jechali w milczeniu. Osowski z żalem konstatował, że niedługo dorożka zatrzyma się.

— Właściwie, dlaczego pan u nas nie bywa? Pa-pa byłby bardzo rad. W swoim imieniu nie potrzebuję chyba pana zapraszać.

Mówiła to zupełnie swobodnie i uśmiechnęła się tak, jak przyjaciel uśmiecha się do przyjaciela. Stanisław jednak ujął jej w rękawiczkę powleczonej rękę i przycisnął do ust:

— Jeżeli pani tylko pozwoli!

Znów uśmiechnęła się, nie cofając ręki. Stanisław trzymał jej dłoń w swojej dłoni i rozkoszował się ciepłem, co przenikając przez rękawiczkę, rozchodziło się po całym jego ciele. Z uporem wpatrzył się w tę rękę.

Helena zaś w tym czasie szeptała w mściwej swej duszy: Tak, teraz wykreślam z serca Janusza. Wykreśliłam na zawsze. Gotowa jestem nawet wyjść za tego człowieka, który jest mi obcy; wabię go nawet ku sobie, bo chcę się zemścić, pokazać mu mą obojętność.

Nie cofała ręki. Przypomniawszy jej się Szaciński. Miała dla niego prawie tyle samo nienawiści, co Małeckiej. Podobał się jej i to bardzo, choć nawet przed sobą nie chciała się do tego przyznać. Nie chciała być jak wszystkie inne. Nie ożeniłby się z nią, ale to jeszcze nie wszystko. Helena wyczuwała doskonale że Szacińskiemu nietyle chodzi o nią, ile o to, by tam pocichu w wydziałach szeptało się o niej, że i ona też, że też się nie ostała.

Na to żadną miarą jej duma zgodzić się nie chciała. Żeby był wzdychał pocichu, żeby pożądał naprawdę i przyszedł, jak się to mówi, na kolana, to co innego, nie zważałaby nawet na ślub, bo już jej ta cnota kością w gardle stała. A ślub?... Zawszeby się potem ktoś znalazł, choćby taki Osowski.

Myliła się jednak troszeczkę panna Rudzińska. Stanisław gotów był wprawdzie na całe gardło krzyknąć, że się „znalazł“, „znalazł!“ ale jeszcze nie na ślub; nie jechał znów tak ostro i nie myślał wcale jeszcze o tem. Gdy spojrzęła na niego, zauważyła, jak ukradkiem obserwował jej nogę, której smukła sylwetka rysowała się z pod zawiniętej sukni...

— Wie pan, niech pan przyjdzie we wtorek

Urządzamy taką skromną herbatkę w ścisłym kółku. Rodzice będą bardzo zadowoleni.

Stali przed bramą. Stanisław kazał czekać doróżkarzowi. Podziękował z wylaniem raz jeszcze za zaproszenie, ucałował jej rękę, i gdy tylko zniknęła w ciemnej sieni, zpowrotem siadł do dryndy.

No, więc we wtorek! Zatrzymajcie no się przyjacielu. Doróżkarz, przejechawszy zaledwie koło kilku kamienic stanął, zdziwiony, za rogiem. Stanisław wysiadł, zapłacił za jeden kurs, i gdy dryndziarz pomstować już zaczął zcicha, dorzucił mu wbrew zasadzie resztę pożyczonych pieniędzy.

Do domu szedł piechotą. Takiego odwożenia z szykiem wyuczył się od Edwarda; „bo to i wyklócić się można solidnie, i kobiecie zaimponować“ — tłumaczył zwykle kolega.

Stanisław, wracając, gwizdał na całą ulicę.

Rozdział III

— No, ale co wam ostatecznie powiedział, bo nic jeszcze nie rozumiem?

— Mówię przecież wyraźnie. Powiedział, że mię będzie forował do góry.

— Tego wam nie mógł powiedzieć.

— Jakto nie mógł, kiedy powiedział. Czepiacie się każdego słowa; zresztą, nie pamiętam, forował czy popierał, wszystko jedno, dość, że obiecał.

— I skąd mu to tak przyszło?

— A bo widzicie, mój ojciec... — Stanisław z całą satysfakcją począł rozwodzić się przed Małeckim nad niezmiernymi wpływami swojej rodziny.

— No, jeżeli tak, to dlaczego dopiero teraz was sobie przypomniał?

Panu Edwardowi zbyt przykro było uwierzyć we wszystko. Z drugiej jednak strony i Stanisław za nic w świecie nie chciał dopuścić nietylko do jakichkolwiek wątpliwości, ale nawet do wyciągania mniej optymistycznych wniosków z rozmowy, jaką prowadził z ministrem.

Była godzina szósta po południu. Szli Nowym

Światem, potrącani co chwila przez tłum, który posuwał się równą falangą po ulicy. Niedzielne „łykanie świeżego powietrza“, wycieczki do kina skupiły tutaj cały młodszy świat urzędniczy.

Pan Edward, słuchając obszernych wywodów kolegi, uchylał co chwila kapelusza, to znów oglądał się za jakąś koleżanką, która w nowym kostjumie paradowała, roześmiana, z przyjaciółką lub przyjacielem.

Małeczki coraz mniej irytował się nadziejami Stanisława, a coraz więcej interesował się ulicą:

— Widzicie, ile dziś szykownych dziewczynek. Patrzcie! ta! ta w różowym kapeluszu!

— Acha, niebrzydka!

— Wiecie, co? jeżeli to wszystko prawda, co mówicie, to musimy to dziś koniecznie oblać. Brzydko toby było z waszej strony, gdybyście tak na sucho.

Stanisław zaczerwienił się:

— Zapożyczyłem się już. Nie mam ani grosza.

— Co to znaczy: nie mam ani grosza! Pożyczyć zawsze można. Poza tem życie przecież z czegoś. Chyba, że ten cały awans niepewny.

— Zupełnie pewny. — Czuł że powinien „postawić“ Małeckiemu, bo inaczej nie uwierzy. Zapożyczył się już i tak na tę pensję. Mówiono o gratyfikacji, ale kto ją wie? Matka miała jeszcze trochę pieniędzy, które wyliczył na życie, już tak najskromniej. — Trudno, pomyślał — trzeba wziąć od matki

Umówili się, że się spotkają o dziewiątej w „Po-

dolance". Edward mówił, że tam „niezgorsze przychodzą dziewczynki“. Moznaby się zabawić...

Gdy o dziewiątej; wchodził do mleczarni, na pierwszym zaraz planie zauważył Edwarda, jak lubieżnie, zaborczo wpatrywał się w jakąś kobietę. Pobiegł za jego wzrokiem. Była ubrana jaskrawo i miała wysoko zarzuconą nogę na nogę; twarzy nie spostrzegł.

Edward, nie odwracając oczu od „objektu“, wyciągnął rękę.

— Przynieśliście?

— Przyniosłem.

— Dużo?

Stanisław pokazał na palcach.

— Mało, ale wystarczy. Jak wam się podoba ta dziewczynka?

— Owszem.

— Co? Nogi ma pierwsza klasa!

Osowski znów pobiegł za obcesowym wzrokiem kolegi. Jedna noga wykonała leniwy ruch ku górze.

— Może się przysiadziemy?

Stanisław rozejrzał się po lokalu. — Dajcie spokój, patrz na nas, i zresztą ona może nie zechce?

— Jakto nie zechce? Paradni jesteście. Przytem ja ją znam z widzenia.

— Znacie?

— Na lekcji tańca ją widywałem. Miała morową przyjaciółkę. No, przysiadziemy się?

— Zaraz, poczekajcie. A co będziemy robić?

— Pójdziemy gdzie do kina, a potem do niej.

— To ona taka?

— Jacy wyście naiwni! Każda taka!

Stanisław niezupełnie zgadzał się ze zdaniem kolegi, ale swoją drogą te nogi podobały mu się. Z za dużych skrzydeł czarnego kapelusza spojrzwały na niego jasno niebieskie, wyblakłe oczy o dziwnie leniwym wyrazie.

— Człowieku, ale przecież nam nie wystarczy!

Edward był optymistą. — Wystarczy, co niema starczyć. Decydujcie się tylko szybko, bo się kto inny przysiadzie.

Zaczął dawać oczami i ruchem głowy porozumiewawcze znaki. Stanisław jednak musiał przyznać, że w tej pantominie Małecki był niezastąpiony. Za chwilę siedzieli już razem. Edward był zupełnie swobodny, powołał się na znajomość, uśmiechał się, dowcipkował. Osowski zazdrościł mu tej swobody, pomimo iż musiał stwierdzić, że dowcipy jego są głupie i wogóle jest za bardzo obcesowy. Zamówili ciastka. Obliczył z lękiem, ile mu przyjdzie zapłacić i czy starczy mu wogóle na wszystko... Edward zapewniał, zresztą on lepiej powinien wiedzieć. Pijąc kawę, obserwował jej twarz. Nie była wcale ładna. Pomimo grubej warstwy fioletowego pudru, nasypanej zwłaszcza nad nozdrzami, przebijała z jej twarzy jakaś dziwna bladość i zmizerowanie. Tak samo zresztą tyczyło brwi i karminowych ust, wyczuwało się, iż pod tą

lichą szminką kryją się blade, bez wyraźnych konturów barwy. Do mleczarni wchodziło coraz więcej osób. Stanisław zauważył, że przechodząc czy zajmując stoliki, lustrowano ich od góry do dołu. Czuł się speszony. Czy ona jednak nie wyglądała zanadto wyzywająco? Żałował, że dał się namówić Małeckiemu.

— A dlaczego pański kolega taki milczący?

— On, proszę pani, od dziecka nic nie powiedział. Jak Bożię kocham.

Stanisław, zażenowany, uśmiechem odpowiedział na uśmiech dziewczyny. Przenikliwa kobieta, zając ciastka, które miały zastąpić jej obiad; przeczuła, kto będzie płacił za to wszystko...

Wyszli z cukierni. — Jednakże nie tak drogo — myślał — przypuszczałem, że przy tem ciąglem skakaniu cen znacznie więcej zapłacę. Przyzwoiła jakaś dziura. — Szli Alejami Jerozolimskimi. Stanisław obawiał się, że spotka kogoś ze znajomych. Usiłował jednak wmówić w siebie: „Było nie było“.

— To dziwne, kiedy ona siedziała, wydawała mi się znacznie zgrabniejszą. — Szedł trochę z tyłu, ważąc w oczach przelewność jej bioder i manierę kręcących się co chwila ramion. Nagle pomyślał: — Przecież najdalej za dwie godziny ona nie będzie miała na sobie tego palta i wogóle nic prócz bielizny, a jeśli zechcę... Tak! i bieliznę każą jej zdjąć!

Z całym cynizmem ujął ją z drugiej strony pod rękę i przycisnął mocno. Podniecił swe zmysły wyobraź-

nią i zachowywał narazie wszelkie konwenanse w rozmowie, tytułując ją panią w przeciwieństwie do Edwarda i znajdując w tem moc zmysłowego zadowolenia, w stosunku do tego, co nastąpić miało później. — Jestem świnia, wiem doskonale — myślał — ale sprawia mi to przyjemność. Ujął ją jeszcze silniej pod rękę. Był nawet zadowolony z tego, że idą we dwóch...

...Gdy się obudził patrzył tępo przed siebie na przeciwległą ścianę, która zdawała mu się jakąś fioletowo żółtą. Kolor ten, niczem niewytłumaczony, cisnął mu się do oczu ze wszystkich kątów i środka pokoju, raniąc ciężarem wzrok i potęgując ucisk jakgdyby pustej głowy. Wogóle pustkę czuł w całym ciele. Nie był zmęczony, tylko nie chciało mu się poruszyć nawet nogą, nawet poprawić kołdry ani uchwycić najmniejszej idei jakiegokolwiek myśli. Przeleżał tak, nie wiedząc jak długo.

Z martwej tępoty ocknął go dopiero ranny świergot wróbli, wdzierający się aż tutaj przez szyby i grube firanki pokoi umebrowanych. Spojrzył w okno. Mleczno-szary świt robił się na dworze. Patrzył w ten szary świt, pomimo iż szyja bolała go od obrotu głowy, gdyż jasna plama budzącego się dnia na firance była dla niego jakgdyby antidotum po mroku, który przepelniał mu oczy. Wzdrygnął się zlekka. Chłodną cienką strugą świeżego powietrza wnikał do pokoju. Wróble wciąż świergotały za oknem; zdaje się nawet, że zlatywało się ich coraz więcej.

Stawał się zły i zdenerwowany. Ogromny niesmak całą siłą parł na niego ze wszystkich stron, w które tylko zwrócił swe oczy.

Ubranie jego i Edwarda leżało, w nieładzie porzucone na wszystkich krzesłach, a czarny kobiecy lakierek szczyrzył z pod łóżka ku niemu swe białe świetlne zęby, błyszczące się od załamania, na wielkim wypchanym palcu.

— Wstrętne! — pomyślał. Odzyskał słuch i uczuł drapiący go oddech Edwarda, który zionął ku niemu piwnicznym zaduchem z uspiionych, czarnych, wół otwartych ust. Krople potu wystąpiły na czoło Małeckiego i świeciły blado, harmonizując z polyskiem jego zlepiionych włosów. Wstrętne! ohydnie wstrętne!

Odzyskał pełnię czucia i skurczył się w sobie tak, by tylko nie dotykać, by nie dotykać swem ciałem ciała tej kobiety. Była dlań wstrętna, wstrętna przez grzech swój codzienny, wstrętna i obca nietylko dlatego, że jej nie znał, że wziął tak poprostu z ulicy, lecz wstrętna i obca wogóle dlatego, że była kobietą. Przepaść różnicy płci w ślad za brakiem zmysłowego pociągu stanęła w całej swej nagości przed Stanisławem.

— Żeby tak mógł zapalić papierosa — zapragnął. Papierosy i zapalki leżały na nocnej szafce. Bał się jednak, że jego ruch zbudzi któreś z „tych dwóch“, a tego nie chciał przedewszystkiem...

Wróble wciąż świergotały za oknem, a w pokoju

robiło się coraz jaśniej. Z jakąż rozkoszą znalazłby się teraz na ulicy, na świeżem powietrzu. A żeby tak mógł się znaleźć w Łazienkach albo wogóle gdzieś na wsi. Agronomiczne jego aspiracje zbudziły się, przeciągając boleśnie w zmęczonym mózgu. Wieś, ha! ha! i pokoje umeblowane. Stawał się coraz bardziej zjadliwy, nawet i w stosunku do siebie. Błoto wszystko i brudy. To są moje zabawy i skala moich zabaw za ostatnie pieniądze. Dureń! Tfu!...

Sięgnął ręką po papierosa i wraz z hukiem pierwszego tramwaju, toczącego się po ulicy, rozbudził śpiących.

— Daj i mnie papierosa.

— Masz! Ja już wstaję. Siódma godzina, tramwaje chodzą.

— Acha — Małcki mrużąc oczy, zapalił zapalkę. Dziewczyna udawała, że śpi jeszcze. Korzystając z tego, pan Edward wyjął z podanego przez Stanisława portfela wszystkie pieniądze. Osowski zgarznął ubranie, wyszukał pod łóżkiem spinki od koszuli i szybko ubierał się za szafą...

— Wymyślcie tam jaką bajkę w biurze, gdybym się spóźnił.

— Au revoir. — Pan Edward mrugał z uśmiechem na Stanisława i, ujawszy nagie ramię dziewczyny, starał się ją obrócić ku sobie...

— ...Hrabia! z dziewczkami się włóczy, a stróża nie ma czem zapłacić!

Stanisław był już za bramą. Rzeczywiście, za-

pomnił sobie zostawić na stróża. Brama z hukiem, jakby kto góry walił, zamknęła się.

— Alfons!

Cicho wsunął się do wydziału. Ostatnie zajście ze stróżem i blisko godzinne wałęsanie się po ulicy odjęły mu do reszty humor. Sądził, iż będzie pierwszym, tymczasem omylił się. Maryla już rozkładała papiery.

— Mama twoja bardzo bała się o ciebie. Czekala całą noc i podobno znów miała atak.

— Miała atak?!

— Przysyłała do nas w nocy po walerjanę, ale nad ranem wszystko przeszło. Kazała ci powiedzieć, żebyś koniecznie przyszedł zaraz po biurze.

— Dobrze, przyjdę! Zasiedziałem się u kolegi i zanocowałem.

Maryla rozłożyła akta. — Powinieneś więcej dbać o matkę; bardzo źle teraz wygląda!

— Ech! moja droga! Powinienem więcej dbać o matkę. Tak mówisz, jakbyś sama nie wiedziała. Żeby dbać, to trzeba mieć za co. A to, żem nocował u kolegi, to jeszcze nie zbrodnia... Należy mi się coś jeszcze od życia.

Zasapał się i zapomniał, gdzie podział klucz od szuflady. Swoją drogą zauważył, że nocowanie u kolegi nie jest koniecznie tem, co się młodemu człowiekowi należy od życia, i nie jest jeszcze motywem,

dla którego nie zawiadamia się o tem matki. Tem więcej był zły.

— Ale tyś się powinna leczyć, ty jesteś wogóle zanadto przeczulona. Tak absorbować się głupią pracą, przyznam się, żebym nie potrafił.

— W każdym razie za tę głupią pracę bierzemy pieniądze!

— Ładne pieniądze!

— W takim razie trzeba rzucać posadę i poszukać czegoś korzystniejszego.

— A, naturalnie! dawnoś powłasnabyła rzucić. Czego właściwie ten Leon nic nie robi?

Maryla zaczerwieniła się; — przygotowuje się teraz do egzaminów.

— E, zawsze go bronisz. Myślisz, że zda?

Wiedział, że zrobił jej przykrość, i żałował już tego po chwili. Ostatecznie, czego się jej czepia, czy dlatego, że mu powtórzyła prośbę matki.

Maryla usiłowała liczyć coś zawzięcie, zaciniała się jednak ciągle, i widać było, że myśli o czem innym.

Sądziła przecież, że jej ludzie nic chyba nie mogą zarzucić. Pracowała od kilku lat jak ten wół roboczy, zapominając o sobie, nie mając żadnej rozrywki, nic, jednym słowem nic, czegoby mogła pragnąć od życia. Nawet książki z czytelnicy niezawsze mogła przeczytać, bo trzeba było dorabiać po południu, żeby nastarczyć na wszystko. Myślała jednak, że z tym uniwersytetem Leona jakoś prędzej pójdzie. Inni kończyli przecież po czterech latach, zarabkując

równocześnie. Nie miała do niego pretensji, wytłumaczył jej przecież „że to nie znaczy wykuć się na pamięć kursu, a potem wypaplać wszystko na egzaminie“. Musiał studjować, przemyślać, nie był przecież na medycynie. Tłumaczyła go zawsze przed sobą i przed ludźmi, ale zrozumieć nie mogła, dlaczego wylegiwał się w łóżku do samego obiadu, a potem włożył się z kąta w kąt, paląc moc papierosów, które niszczyły mu zdrowie i tak obciążały ich budżet. Nie mówiła mu jednak nic; wiedziała, jaki był drażliwy, zwłaszcza w ostatnich czasach, jakgdyby wąpił o sobie. A przecież przedtem pracował jednak nad sobą po kilka godzin dziennie. Pamięta dotąd, jak mówił, że byle tylko zdał jak najprędzej ten dyplom, to zaraz jej każe rzucić tę całą budę i palcem jej nie da zakrzywić. Cieszyła się, nie dlatego, by nie chciała pracować, tylko dlatego, iż czuła, że ta cała praca w biurze, te całe stosunki biurowe nie są jej udziałem i wogóle udziałem kobiety. Czuła się jak ktoś chlebny, wyrwany z ziemi i porzucony na błotne klepisko. Czy wiedział kto wogóle, ile ją to wszystko zdrowia kosztowało, czy myślał kto kiedy nad tem. Ta niezliczona moc rachunków, głupstwo jednak rachunki; te ciągle intrygi, ciągle podszuczowania, to zachowanie się „koleżanek“, hańbiące najprymitywniejszą cześć kobiecą. Tamtą stać było na suknie, choć nic nie robiła i nie potrzebowała na życie, ta dostała podwyżkę, ta wyższą znów kategorję; ona tyl-

ko jak przyszła, tak dotąd niezmiennie trwała. Dlaczego?

Ha! nie potrzeba chyba i mówić. Panowie szefowie wydziałów, wielkie są wasze stanowiska i wielka złość wasza na wszystkie te podwładne, które pomimo waszych rachitycznych nówek, waszych katarów kiszek, hemoroidów i innych, niemniej dostojnych chorób nie zechcą być waszemi kochankami, nie dadzą się obmacywać gdzieś na samotności; więcej, nawet nie patrzą z nabożeństwem w wasze bezdennie głupie oczy.

Co! niewiadomo może, za co się bierze podwyżki! za co kategorje!! za co urlopy!!!... Świnie!

No, no, nie obrażać się i nie wypierać tam, po kątach, bo z nazwisk będę wymieniał...

Biedna, zahukana w pracy Maryla! Liczyła, ale wargi trzęsły się jakoś z wzruszenia, bo rzeczywiście była już przeczulona. I ostatecznie, czyż mogła mieć pretensje do Stanisława, że stwierdził tylko obiektywnie to, o czem ona bała się myśleć. A jednak uraził ją, nie zastanowił się nawet nad tem, jaką czyni jej przykrość. I to on, właśnie on, który z tego całego otoczenia był jej najbliższym.

Do wydziału wsunął się Pilawski, zdjął palto i, siadając, nakładał okulary.

Musiał mieć od żony urwanie głowy. Stanisław wiedział od pana Edwarda, że w sobotę na balu szefowie spili dla figłów Pilawskiego do utraty przytomności i tak go odwieźli do domu. Gdy drzwi skrzyp-

nęły po raz drugi, do wydziału weszła Helena. Stanisław z zawstyżeniem odpowiedział na jej ukłon. Z dziwną pilnością zabrał się do pracy, chcąc w ten sposób zagłuszyć wstrętne wspomnienie nocy i tej obrazy, jakiej dopuścił się w stosunku do Rudzińskiej. Ukradkiem spojrział w jej stronę. Na chwilę musnęły się ich oczy, lecz jej spojrzenie było zimne jak lód, źrenice nieprzeniknione.

Spuścił znów głowę. Ona coś chyba wyczuła. Pamięta przecież, jak jego matka zawsze... Kobiety mają bardzo dużo intuicji!

O, biedny, biedny Stanisławie Osowski. Nie wiesz ci się nic od samego rana, a wniosek twój ostatni jest tak ogromnie komiczny, że śmiałybym się do rozpuku, przyjacielu, z ciebie, gdybyś na swoje szczęście nie był bohaterem mej książki. Helena jest dziś poważna, Helena jest nieprzystępna; lecz Helena dostała wczoraj list od Janusza, list z zapowiedzią przyjazdu. Zresztą Helenkę troszeczkę boli głowa.

Co?...

Nic!...

A może to ty, czytelniku, pytałeś się, dlaczego Helenkę dziś boli głowa?

Że też nigdy milczeniem nie mogę pominąć najdrastyczniejszych rzeczy, i że też zawsze ciągną mię wszyscy za słowa.

Helena ma przecież lat dwadzieścia dziewięć, jest, że tak powiem, dziewicą i dziś noc całą była pod

wrażeniem listu Janusza. To pobudza, to nawet koci!... Za żadne skarby słowa więcej nie powiem...

— Czy jest już Galicki? — Pan Edward jak bomba wpadł nagle do wydziału. O miłą już pachniał fryzjerem.

— Nie, jeszcze nie przyszedł, choć prawdę rzekłszy, jest już po dziesiątej.

Jeszcze Pilawski nie skończył mówić, gdy szef się znalazł w wydziale.

— Wiecie, państwo, co?! — Minister się poddał do dymisji. Gratyfikację znów djabli wezmą.

Lotnik wraz z aparatem spadł jak zastrzelona wrona na podwórko. Tramwaj na zakręcie poślizgnął się i wywrócił z wrzaskiem jak chłopiec na ścieżce w czerwonych trykotach. Okropne! Wpółotwarte zastrygły usta, i cicho się zrobiło w wydziale, jakgdyby wszyscy śledzili za jakimś ogromnym głazem, który leciał gdzieś w przepaść... Huknął!!

— To niemożliwe!

— Panie Osowski! jeżeli ja panu mówię, to znaczy się możliwe.

Helena przelotnie spojrzała na Stanisława. No, tak... ma się rozumieć. Za chwilę jak tynk z walącego się domu posypały się zapytania:

— A co? A dlaczego? A kiedy?...

— Dzisiaj złożył dymisję, proszę państwa; podobno w związku z rekonstrukcją gabinetu.

— Ale nasza gratyfikacja przepaść nie może. Na

to nie zgodzi się ogół urzędników. Myśmy liczyli. Myśmy zakupy... To jest poprostu świństwo!

Gdyby finanse pana Galickiego nie były też zaangażowane na conto spodziewanej gratyfikacji, byłby pan szef bezwzględnie skarcił Pilawskiego i potrafił mu powiedzieć, że takie wyrażenia jak „świństwo“, jak „ogół urzędników“ są niczem innym, tylko zwykłym bolszewizmem i że on dziwi się wogóle, jak niższy urzędnik... Pyło jednak inaczej i pan Galicki spokojnie zdejmował płaszcz.

— Właściwie należałoby pójść w delegacji do wiceministra. Przecież tak sprawy nie zostawimy.

Zkolei oczy wszystkich zwróciły się na Pilawskiego; musiał być najbardziej „zarżnięty“ w tym miesiącu, ale rzeczywiście możeby dało się co zrobić. Byle tylko szef stanowczo nie zaoponował. Galicki myślał jednak również ze swojej strony, że może delegacja potrafi co zrobić. Odezwał się więc z pewnym nieodzownym lekceważeniem:

— Jeżeli pan, panie Pilawski, myśli, że to może pomóc, to w kantynie zbiera się jakaś delegacja.

Pilawski z niespodziewaną werwą w swoim wieku ulotnił się z wydziału.

— No, no, taki konserwatysta i delegacja. — Pan Edward uśmiechał się, bo był zły, doznawał jednak pewnej ulgi na myśl o innych.

— To nie ma nic do przekonania politycznych, to jest sprawa, która zajmuje nas wszystkich.

Szef nie mylił się, była to sprawa, która zajmo-

wała wszystkich bez wyjątku urzędników, a w szczególności Stanisława. Patrzył na rozgardjasz jaki panował w wydziale, z miną rocznego dziecka, któremu pies wylizuje z miski kaszę, już przestudzoną i przeznaczoną dla niego.

Galicki wyszedł z wydziału, a pan Edward usiadł na stole:

„Krew naszą długo leją katy“. — Panno Helu, jak tam dalej idzie?

Stryjeczna prawnuczka szambelana przywołała na usta grymas pogardy:

— Pan świętuje na pierwszego maja, to powinien pan wiedzieć.

— Zato w „Rozdziestwo Christowa“ pracuję... (Pan Edward był bezwyznaniowcem).

Na drugie śniadanie nie zjawił się ani Galicki, ani Pilawski.

Dopiero w jakąś godzinę potem przyczłapał się Pilawski, zmęczony, czerwony i kraciatą chustką ocierający sobie twarz.

— No i co?

— Co ma być, nic niema. Grosza nie dostaniemy. Chcę palce gryź.

— A gdzieście chodzili?

— Jakto gdzie? Byliśmy u Szacińskiego, bo wiceminister dokądś sobie wyszedł.

— I co wam powiedział Szaciński?

— Szaciński! A co Szaciński mógł powiedzieć. Wykręcał się. No, ałem mu też nagadał. Powiedzia-

łem mu, że tak postępować z urzędnikami, to jest świństwo!

— No, tegoś to pan nie powiedział.

— Jakto nie powiedziałem. Byłeś pan! Lepiej mu powiedziałem — zresztą Malinowski może poświadczyć. Powiedziałem mu, że za rosyjskich czasów było lepiej i że nie tegośmy się spodziewali.

— He, he, a toś mu pan pysznie powiedział. Cóż on na to?

— Nic. Poczzerwieniiał i zamilkł.

Pan Edward był wesół do tego stopnia, iż było to aż nieprzyzwoicie.

— A toś pan ostro z nim postąpił.

— Szefowie, panie! paniczki! a deputaty to po cztery dostają...

— Panie Pilawski, tu jest biuro, komu się co nie podoba, to proszę, wolna droga. W wydziale nie pozwala się na coś podobnego.

Pilawski, czerwony, wsunął nos w akta.

— Panowie będą łaskawi przedstawić mi rachunki za styczeń. — Szef siadł za biurkiem i objął urządowanie. Wiceminister przyobiegał kilkunastu wyższym urzędnikom cośnieważnym awansem a conto pensji. Tylko niech panowie uciszą tam te szemrania po wydziałach. Rozumieją panowie chyba, mówił pan wiceminister, że w obecnych warunkach państwo nie może obdzielić wszystkich jakby chciało. — Sprawa została załatwiona.

Słyszała, jak Marjanna zamykała drzwi, słyszała, jak zdejmował palto w przedpokoju, domyślała się, że teraz poprawia krawat przed lustrem; lecz nie ruszyła się z miejsca. Udawała, że przerzuca album z fotografjami, które notabene znała od dzieciństwa.

— Dobry wieczór, Hełuśka! — Stał przed nią w nowej jakiejś swobodnej pozie i w nowych ciasnych lakierkach.

— Ach, to ty! Dobry wieczór. Proszę cię, siadaj — wskazała mu miejsce umyślnie nie obok siebie na kanapie, lecz na fotelu.

Podciągnął spodnie, usiadł i z satysfakcją rzucił wzrokiem na nowe kamaszki.

— Mama jest w domu? — Zamierzał od razu przystąpić do rzeczy, udobruchać ją.

— Nawet nie wiem na pewno.

Spojrzał się ze znużeniem. — Na dłuższą się widac hecę zanosi — pomyślał i, schyliwszy głowę, obserwował lakierki. Siedzieli tak w milczeniu przez chwilę. Wkońcu zaczęła:

— Na długoś przyjechał?

— To zależy od ciebie.

— A tak, wierzę mocno. Interesowałeś się przez tyle czasu tak pilnie mym losem.

Dziwna swoboda była z jej słów, więc był zły.

— Wiesz, że nie mogę pisać.

Złożyła album. — Co to znaczy nie mogę? Czy nie chcę, czy nie mam chęci, czy nie mam na papier? Zauważyła od razu, że kupił sobie nowe lakierki.

— Moja droga, tłumaczyłem ci to już tyle razy, że uważam za zbyt częste powtarzać. Kobieta rozumie tylko wtedy, kiedy jej coś wygodnie jest rozumieć.

— Ha! ha! ha!

Z napięcia jej głosu domyślił się odrazu, że musiała jednak wyprawić wszystkich z domu.

— Jakiś ty jednak zarozumiały: „Wygodnie rozumieć“, to poprostu kapitalne.

— Ale o co ci właściwie chodzi?

— Jakto o co. Jestem poprostu ciekawa, co można robić przez tyle czasu?

— O to ci chodzi? — Wstał i przechadzał się wzdłuż salonu. — Malowałem.

Słowo to jednak nie sprawiło na Helenie spodziewanego wrażenia.

— Ach, więc jesteś z kolei malarzem.

Poderwał się, jakby mu gwóźdź wlał w nogę: — Przepraszam cię! Pozwól mi powiedzieć, że ta cała rozmowa nie ma wogóle sensu i że kochanka nawet nie robi takich scen o głupie listy!

— Jesteś bezczelny i podły. — Błada wstała z kanapy i wyszła do sąsiedniego pokoju.

On też przybladł trochę. Przeleciał dwa razy przez salon i wpadł w drzwi do przedpokoju. Tu jednak zatrzymał się. Z gabinetu, sąsiadującego z salinem, dobiegł go tłumiony płacz Heleny. Krótkie spazmatyczne y! y! y!... zatrzymało go na chwilę. Djabli nadali! Jeżeli wyniesie się tak po angielsku,

bez pożegnania, to wogóle nie będzie wypadało, by wrócił tu kiedykolwiek. Tego nie chciał.

Idjota, psiakrew! Wrócił do salonu, stanął przed balkonem i zapalił papierosa. — Popsułem sobie zupełnie humor — myślał. — Swoją drogą ona jest denerwująca jak wszyscy djabli... W sąsiednim pokoju wciąż przewracał się po meblach spazmatyczny szloch Heleny.

Pan Janusz, paląc papierosa, wyglądał na ulicę. Był już zupełnie spokojny i konstatawał z niezmaczną logiką donjuana, że będzie musiał ostatecznie przeprosić Helenę i to pies wie za co? Za to, że mnie na samym wstępie ubliżyła.

Płacz nie ustawał ani na chwilę. — Byłem tylko nie potrzebował latać z karafką do kuchni po wodę. A może ona myśli, że już poszedłem. Podniósł do góry krzesło i postawił zpowrotem.

Rzeczywiście, szloch urwał się nagle, i po pewnej chwili dał się słyszeć płacz, równy, gorzki i rzewny jak politowanie Janusza.

— No! równo zaczyna grać, trzeba będzie tam zaraz iść, bo się jej znowu pogorszy. Szybko zaciągając się, dopalał papierosa.

Helena płakała ciągle, klasycznie i przepisowo, tak, jak przystało na bohaterkę romansu. Z początku coś urwało się jej w sercu, potem darło za piersi, dławilo w gardle, teraz zaś falą niezmiernego bólu płynęło na salon, w którym wiedziała już, że został Grabowski.

Jak bardzo była zła! Nic się jej nie udało. Janusz na pewno był przekonany, że tęskniła za nim. Nie udało jej się dowiedzieć, co robił przez ten cały czas, nie udało zmusić do zakłęb i tłumaczeń i co za tem idzie. Marnowała tylko czas teraz, a to w porę 2) rzeczywistością urazą, jaką miała do niego, drażniło ją niepomiernie. Już zaczynała spazmować na nowo, gdy wyczuła, że wszedł do pokoju.

On chodził czas jakiś zupełnie przepisowo, twarzym, krokiem, potem, gdy w niej znów łkać coś poręczyło, przyspieszył chód, wkońcu, gdy szloch znów szarpnął jej piersią, powiedział:

— No, Heła! słuchaj! Hel-la!

— Nic.

Usiłował, ale tak tylko dla formy, pogładzić ją lekko po głowie.

Odsunęła go gestem. Poszedł więc do okna i stał smutny. Wówczas wyjęła chustkę, ponieważ jeden akt dramatu koniecznie musiała uciąć, gdyż matka o dziewiątej miała wrócić od ciotki. Teraz nie wydawała już z siebie głosu, i znać było, że całą siłą woła usiłuje przywrócić się do równowagi. Pierś tylko falowała jej ciężko.

Janusz w mig zorjentował się w sytuacji. Śmiałym spojrzeniem zmierzył przestrzeń, dzielącą go od niej, i rozpędziwszy się, był już u jej kolan.

— Przebacz! Przebacz! Ja wiem, to moja wina, ale błagam, zapomnij, ostatni raz... Ja cię tak kocham. Nie wiem poprostu, co się ze mną stało.

— A, a, a — mówiła Helena słabym głosem jak kura, za którą andrusy biegali przez kilka godzin po podwórku.

— Słuchaj! Wiem, że jestem podły, ale bez ciebie żyć nie mogę!

— Nie, ty nie jesteś podły — mówiła, osuszając oczy, wobec czego przestał ją już ścisnąć za kolana, a ujął za łydkę...

W pół godziny potem siedział już z nią na kanapie jakgdyby nigdy nic, trzymając ją za kibić.

— Ty się nie śmieję. Mówię ci zupełnie serjo, że pewnie wyjdę zamaż.

Wahał się jakiś czas, czy nie zrobić trupa, ale wolał się rozeźmiać ponownie.

— Ty?!... Wiem, że nie zrobisz tego, bo mię kochasz.

— Ale ty się przecież ze mną nie ożenisz?

Teraz już musiał zwiesić głowę. Rzeczywiście, wolałby sto batów na nagą sympiternę. Dwóch rzeczy nie zrobiłby nigdy: Nie poszedłby za nic w świecie do wojska i nie ożeniłby się. Ona nie robiła mu już z tego wyrzutów i nie zdawała się mieć żalu, tak, jak się nie ma żalu do ziemi, że jest okrągła, lub do starego szefa, że czasem uszczypnie za łydkę.

Była przedziwnie trzeźwo usposobiona, co było tem dziwniejsze ze względu na warunki, w jakich prowadzili rozmowę.

— Słuchaj! Nie chcę być starą panną, i my musimy z tem skończyć!

— Z czem? Przecież nic nie było pomiędzy nami. — Wsunął jej rękę pod bluzkę.

— Tak, ale to do niczego nie doprowadzi i nie ma sensu.

— Okrutna jesteś dla mnie. Nie mogę żyć bez ciebie i nie dam cię nikomu.

— A ja ci mówię, że wyjdę zamąż — przekomarzała się, bo wiedziała, że wobec tego stanie się bardziej natarczywy, czego się bała okrutnie... — Daj spokój, nie chcę!

— Chcesz!

— Nie chcę!

Językiem miażdżył jej język i drażnił podniebienie. Czują, że słabnie.

— Słuchaj, Heluś, Hela!

— Coo...

— Ty wyjdiesz zamąż, ale będziesz zdradzać męża ze mną!... Rozumiesz, będziesz go zdradzać ze mną, tego jakiegoś idjotę! zaraz po ślubie, kiedy tylko zechcę! Rozumiesz!!

— Nie!

— Rozumiesz!

— Nie!

— Rozumiesz! Ja ci każę! Ja!... — Wpił oczy w jej mgłą zaszcze źrenice. — Rozumiesz! każę!!

— Dobrze... — Całem głosem opadła na kanapę.

Rozdział IV

— Właściwie, tom się już spóźnił pięć minut — Stanisław przyspieszył kroku. Zauważył, że gdy przedtem szedł zwykle punktualnie do biura, spotykał zawsze jedne i te same twarze. Teraz spóźniał się prawie codziennie, bo jakoś nie miał siły zerwać się rano z łóżka, a przytem i stosunki zapanowały takie w wydziale, że mógł sobie na to pozwolić. Przed kilku tygodniami ze względu na opłakany stan finansów rada ministrów na wniosek ministra skarbu zarządziła daleko idącą redukcję we wszystkich urządach państwowych. W departamencie, gdzie pracował Stanisław, zlikwidowane zostały doszczętnie całe trzy wydziały. Nic też dziwnego, że trzy puste, pozostałe po wydziałach pokoje, zajął pan szef departamentu, rozrządziwszy się niemi w następujący sposób:

Pierwszy pokój stanowił odtąd jego poczekalnię, gdzie każdy interesant mógł się spokojnie zdrzemnąć, nie przeszkadzając swem chrapaniem bynajmniej panu szefowi, który sypiał zwykle dopiero w trzecim pokoju. Zmiana ta była rzeczą bardzo chwalebną i wskazaną, szkoda tylko, że pan szef nie posunął

się dalej w swej akcji humanitarnej i nie kazał zamiast prostych, angielskich krzesel, wstawić do poczekalni jakiejś wygodnej kanapy, w rodzaju tej, jaką kazał umieścić w następnym pokoju, w którym urzędowała jego osobista sekretarka, panna Funia, dziewczę płoche, lecz nader przylepne. W trzecim pokoju, jak już powiedziałem, rezydował sam na bardzo ładnych, wyściełanych, świeżo nabytych meblach, które to meble nie mogły stanowić dowodu rozrzutności pana szefa, gdyż koszt ich został pomieszczony w budżecie pod takimi pozycjami, którym się nawet nie śniło, że służyć mogą do czegoś podobnego. Sprawa likwidacji wydziałów mogłaby się na oko wydawać załatwioną. Zapomnieliśmy jednak o jeszcze jednym pokoju, a to jest właśnie o dawnym apartamencie pana szefa, o którym w pierwszej chwili on sam nawet zapomniał. Właściwie o tym pokoju przypomniał mu dopiero kolega, piastujący równie wysokie stanowisko w ministerstwie, a przeniesiony niedawno rozporządzeniem do Warszawy wraz z żoną, z zniechęconą staruszką matką oraz siedmiorgiem dzieciarni w wieku szkolnym. Rozporządzenie ministra z natury rzeczy „nie śmie być” komentowane, tak, że kolega pana dyrektora, po krótkich tylko zapewnieniach, że ani myśli słuchać tych cymbałów, że weli się wziąć odrazu do szewctwa, zniewolony łzami żony oraz siedmiorga drobiazgu zaniechał oporu i w oznaczonym terminie stawił się, gdzie mu polecono.

Czy zrobił dobrze? Ze względów państwowych nie będę wnikał w meritum sprawy, zaznaczę tylko z jednej strony, iż zamiar brania się do rękodzieła człowieka, dobrze już po czterdziestce i obciążonego rodziną, byłby bardzo trudnym do przeprowadzenia; z drugiej zaś strony, komorne, jakie musiał być zapłacić zgóry za pół roku, w znacznym stopniu nadwerżyło jego ruchomości, a nawet wykluczyło w przyszłości jakikolwiek posag dla siedmiu jego córeczek.

Mieszkanie jednak pana Obrembskiego miało tę dobrą stronę, że znajdowało się w tym samym gmachu, co i jego biuro. Suteryna była wprawdzie bardzo wilgotna, ale właściciel domu zaręczał Obrembskiemu, że byle tylko pozabijał sobie okna deskami, to wilgoć minie, gdyż wina bynajmniej nie leży w złej konstrukcji domu, ale w jakimś dziwnym uporze psów podwórzowych, które upodobały sobie specjalnie to miejsce. Obrembski jednak nie chciał pozbawiać swych dzieci odżywczego dopływu słońca. Obruszył się nawet.

— I pan masz śmiałość za tę piwnicę wydzierać mi trzecią część mojej pensji?

— Przedewszystkiem nie za piwnicę, bo piwnicę gotów byłem oddać panu o dwadzieścia pięć procent taniej. Trzeba było nie kręcić nosem.

— Kręcić nosem! Człowieku, przecież mnie w tej suterenie wszystkie dzieci popuchły.

— Ale czego pan się zaraz denerwuje? Ja mó-

wię spokojnie, choć mi wasze ministerstwo zarekwirowało cały dom i płaci akurat tyle, że co kwartał kupuję sobie za to setkę papierosów. Z tych dwóch suteryn tylko żyję. Zresztą, jak pan mi opłaci podatek za tego największego psa, to każę go wziąć na łańcuch.

Pan Obremski zapłacił podatek za kundla i mieszkał nadal w opłacanym zgóry lokalu, ale gdyby kto w tym czasie powiedział mu, iż „przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka“, temu niechybnie rozbiłby głowę lub wyrwał nogę ze stawu. Nic też dziwnego, że gdy w sąsiednim departamencie opróżnił się pokój dyrektora — Obremski zwrócił się z prośbą, czyby czasowo nie mógł zamieszkać w nim wraz z rodziną. Pan dyrektor oparł się jednak stanowczo, a ponieważ sprawa zależała od jego kompetencji, nawet wiceminister ograniczył się tylko do wstawienia. Wstawienictwo jednak zdołał pan dyrektor zupełnie służbowymi motywami sprytnie ominąć, a w pozostałym pokoju urządził sobie archiwum na różne „koncepty“, „kawalki“ i inne odpadki, które nieopatrzny Szaciński już zamierzał rozsprzedać na torby izraelitom.

Tak więc Obremski nie wskórał nic, poza tem, że zmusił pana dyrektora do intensywniejszego myślenia i że od tej chwili wszelkie „kawalki“ z departamentu trzeciego wracały doń kilkakrotnie z czerwonym przypiskiem:

„Departament drugi prosi o wyjaśnienie, co na-

leży rozumieć i co departament trzeci chciał wyrazić, zwracając się do nas pismem z dnia i t. d.“

Ktoby jednak myślał, że na tem koniec, ten gruboby się pomylił. Po zlikwidowaniu wydziałów pozostaje zawsze pewna ilość urzędników, z którą należy coś zrobić i gdzieś ulokować. Pan dyrektor miał masę pracy w tym czasie, ale wkońcu udało mu się załatwić wszystko pomyślnie. Zwalił wszystkich bezdomnych Galickiemu, bo przecież Galicki miał największy pokój, a przytem był bardzo porządny chłopak jeszcze tam, w Bochni.

Galicki urósł odrazu o całą głowę i w pierwszej chwili stracił ją nawet w chmurach nieładu i rozgardjaszu, jaki zapanował w jego wydziale. Zorientował się jednak szybko, kazał zaprowadzić jeszcze kilka dzienników, sporządzić drugie tyle kartotek, i odtąd wszystko to, co dawniej rzucało się do kubła, ubierało się starannie w koszulki i partjami, w należytem porządku wysyłało się do archiwum departamentu, w którym zwykle w godzinach popołudniowych przesiadywał sam pan dyrektor, wczytując się w to wszystko i niejedną łzę rozczulenia roniąc zapewne nad tem: „jak każda najdrobniejsza rzecz na świecie przy odpowiedniej pracy może być wykorzystaną“.

Stanisław, wchodząc na schody, wiedział już, że spóźnił się o całe dwadzieścia minut, ale nie dlatego był zły. Teraz, gdy pracowało tyle kobiet w wydziale, spóźniano się i po godzinie. — Inna w tej chwili

drażniła go sprawa. Oto kupił sobie wczoraj nowy kapelusz, który siedział mu właśnie na samym czubku głowy i którym wiedział, że wywoła owację. Właściwie kapelusz był przecież zwykły, ale już tak się utarło po biurach, że każdy poważniejszy zakup garderoby powoduje u współkolegów zgodny chór podziwu, w którym wytrawny psycholog doszukac się może nuty złośliwej.

Wszedł.

— A! a! a!...

Nie pomylił się; tradycji stało się zadość.

Ze też psia krew nic nie można sobie sprawić, żeby zaraz ta tłuszcza nie wyła. Szybko powiesił kapelusz i stworzył biurko. Chciał pominąć ten fakt milczeniem, lecz panna Kacia zagadnęła go wręcz:

— Gdzie pan kupował?

— Tak, przechodząc...

— Ładny! Tylko kolor niebardzo. Zanadto wpada w fioletowy.

Rzucił okiem. Rzeczywiście. Wolał z początku inny. W sklepie jednak zapewnili go, że takie właśnie modne.

— Teraz takie się nosi.

— Nie powiem tego. — Małecki nie mógł się zgodzić, aby ktokolwiek wkładał się w jego rolę mistrza elegantiarum wydziału.

— Wszystko jedno! nie zależy mi na tem. — Umoczył pióro, zamykając w ten sposób niejako dyskusję. Tyle gadania o głupi kapelusz. Wczoraj całe popołudnie i dziś już od rana. Właściwie wszedł

do sklepu z zamiarem kupienia sobie mankietów, bo te dwie pary, jakie miał, wystrzępiły się zupełnie. Firma była bardzo porządna:

— Szanowny pan więcej?

— Nie, narazie dziękuję!

Subjekt zawiązał mankiety.

Stanisław nigdy w sklepie nie mógł się pozbyć lekkomyślności udawania klienta na wysokości zadania. Zakupy robił bardzo rzadko, lecz teraz był po pierwszym, zapytał więc przez nos:

— Przepraszam pana, te kapelusze w jakiej cenie?

Cena była niespodziewanie wysoka, więc zapytanie okazało się głupie, cofać się było już jednak za późno, bo firma była bardzo porządna. Z drugiej strony subjekt nie byłby subjektem, gdyby „takiemu“ nie zdołał coś wtrynić.

Wyszedł więc pan Stanisław ze sklepu z parą mankietów, ze spinkami do kołnierzyka i koszuli, z krawatem, szalikiem, z parą skarpetek i z kapeluszem w papierowej torebce, na której widniała wielka, granatowa firma. Pocieszał się tylko tem, że wszystko powinno być w dobrym gatunku.

— A ty co kupiłeś, Stachu?!

— Nic, mamusiu.

— Jako nic, dziecko! Masz przecież jakieś paczki.

— To nic — kapelusz.

— Kapelusz?... A nacóż ci kapelusz. Ten masz przecież jeszcze taki porządny.

— Zdaje się mamie, Poprzecierał się już zupełnie a ten będzie trwały, bo w porządnej firmie kupowałem.

— Musiałeś dopiero przepłacić. Wieleżeś dał?

Powiedział prawie o połowę mniej.

— Bardzo drogo, dziecko!

— E! mamie się wszystko wydaje za drogo. Teraz takie ceny.

— Ja ci przecież nie robię wyrzutów, kociaku, tylko znowu nam może w tym miesiącu nie starczyć.

— Starczy! — Wszedł do swego pokoju. Przy mierzył jeszcze raz kapelusz. Spojrzał się zezem w lustro i wyszedł na spacer. Na nieszczęście zaraz przed bramą spotkał kuzyna.

— Dobry wieczór, Stasiek! Cóżeś ty sobie takie wronie gniazdo sprawił. Wyglądasz jak małpa!

Pożegnali się szybko. Co to może go obchodzić. Jak mnie się jeszcze raz kto spyta, to w pysk dam. Jednakże jaka to granda ci urzędnicy. Jedna Helena wie tu tylko o subtelności; nie spojrzała się nawet.

Rzeczywiście Helena w domu wygrzmociła raz tak swoją małą kuzynkę za poplamienie sukni, że ta bała się od tej pory zostać z nią sam na sam. W biurze jednak Rudzińska była ponad takimi błahostkami. Stosunek jej jednak do Stanisława ulegał nagłym i niespodziewanym zwrotom, przynajmniej dla

tego ostatniego. Doszło już do tego, że Stanisław nie wiedział, czy swoim uśmiechem lub nawet wzrokiem wywoła jej złość czy zachęcające powłóczyście spojrzenie. Oburzał się na to, nazywał ją nawet w głębi serca histeryczką, lecz za każdym cieplejszym powiewem jej humoru zapominał o wszystkim, czyniąc sobie nawet wyrzuty z powodu niedawnych myśli. Terroryzowała go swoim postępowaniem, ale kto wie? może właśnie ten terror, skłaniając do obserwacji, przykuwał do niej. Czasami przebiegał myślą ostatnie miesiące: Najpierw ten bal, po którym zaprosiła go do siebie, potem nie przypomniawszy o wizycie ani słowem. Nie poszedł. Niespodziewanie w jakiś czas później udawała obrażoną i robiła mu z tego powodu wyrzuty. Przyszedł! Była zimna jak wystudzona fajerka i kwaśna jak cytryna, gdy się ją zjada na trzeźwo. Potem znów dobrze, potem źle. Raz tak, a raz tak i to jak nożem uciał. Patrzał i teraz z nad stołu w jej twarz i myślał:

— A swoją drogą ona jest zagadką!

Nagle z tego tak doniosłego pytania wyrwał go głos pana Edwarda:

— Wie pan co, panie Osowski! Pan może całkiem zbytecznie kupował sobie ten kapelusz.

Stanisław rzucił się jak oparzony. Już chciał mu powiedzieć, „że on wogóle wyprasza sobie“, gdy pan Edward na cały głos zacytował z rozpustartej przed sobą gazety komunikat wojskowy...

— No i co pan na to!

— Nic!

— To jednakże znów się cofamy! Ano stanął nam ten Kijów kością w gardle. — Pilawski nawpół z ironją, nawpół z ubolewaniem pokiwał głową.

— Panie Pilawski! Wie pan, to jest bardzo wesołe, to pańskie „cofamy się!“ „idziemy naprzód!“ Pan idzie?

— Chce pan być złośliwy, a plecie pan, panie, głupstwa. Jeżeli ja jestem Polak i armja polska, to nic dziwnego, że mówię my. Jak się będą bolszewicy cofali, to pan Małecki będzie mówił „my“. Hehehe!

— Ach, jaki pan dowcipny!

— Ano nie mam może racji?

— Panowie się niepotrzebnie tylko zawsze kłócą. Ale w zasadzie ja uważam, że pan Pilawski ma rację.

— Pewnie, pewnie. Swój swojego broni. Panna Kacia siedziała sobie tam w Rosji, a pan Pilawski tu na „kazionnoj“.

— A pan żeś wtedy koszulę w zębach nosił — Pilawski strasznie lubił ten argument i wiedział, do jakiej pasji można nim przyprowadzić Edwarda.

Stanisław nie mieszał się do dysputy. Wstał z miejsca, podszedł do mapy i jął przedstawiać chorągiewki, które z przedziwną jakąś szybkością w ostatnich czasach zaczęły opadać nadół.

— Psiakość! To jednakże prędko jakoś idzie. Zaraz. Wiele to kilometrów?... — Począł odmierzać na skali.

— Nie ma pan co wymierzać, bardzo prędko. niedługo pewnie sprawimy sobie mundurki. Kapelusik, panie Stasiu, na djabła się zdał. Niech go pan w razie czego podaruje panu Pilawskiemu. Ha! ha! ha!

Pilawski nie uważał za stosowne odpowiadać na takie ordynarne zaczepki. Stanisław odszedł od mapy, rzucając wzrokiem w stronę Heleny.

— Jak będzie trzeba, to się pójdzie! — Bardzo spokojnie, jakgdyby nigdy nic, zasiadł zpowrotem przy biurku. Efekt jednak słów jego zrobił swoje. Ton, jakim to wypowiedział, spodobał się nawet Helenie; innym koleżankom ta jego beztraska poprostu zaimponowała. Jedna panna Kacia odezwała się rezolutnie:

— No, nie jest znowu tak źle, jak mówi pan Edward.

— Czy ja powiedziałem choć słowo. Przeczytałem komunikat, to zdaje się, wystarcza.

— E, pan wierzy komunikatom?

Pan Edward otworzył szeroko oczy. — A dlaczego mam nie wierzyć?

— Bo oni prawie zawsze tam kłamią.

— Ma pani zupełną rację. Mało to się jeszcze Moskałe powypisywali, że to „nasze dzielne wojska“, „że to zajęliśmy“, a Niemcy, panie, Trach!... Ani się człowiek spodziewał, i już Warszawa wzięta. — Pilawski miał zamiar mówić jeszcze więcej. Pan Edward przerwał mu jednak:

— No więc co z tego?

— A nie! To, że nie można jeszcze wierzyć.

— No, ale pocóżby mieli kłamać?

— Bo ja wiem poco? Mogą mieć w tem jaki swój wojskowy interes.

— Co za interes? To doskonałe! Polskie władze wojskowe miałyby mieć w tym interes, że piszą, iż się ich wojsko cofa. Albo ja, panie, jestem warjat, albo pan?

— Co pan możesz wiedzieć. Służyłeś pan w wojsku? Pilawski pochylił się po ostatnich słowach znów nad papierami. Dał sobie słowo, że więcej już słowem się nie odezwie do tego zarozumialca.

— Pan rzeczywiście za bardzo się przejmuję — rezonowała panna Kacia.

— Ja się przejmuję? Kto to pani powiedział. Tylko, jak kto nie może zrozumieć rzeczy jasnej jak słońce, to szkoda słów.

— A ja panu mówię, że pan nie ma racji, bo nie dalej jak wczoraj przyjechał do nas mój szwagier z frontu i mówił, że nie jest wcale tak źle.

— Kto to jest ten pan szwagier?

— Kto to jest? — Oficer!

— Generał?

— Nie generał, ale porucznik i oficer linjowy. Więcej wierzę jemu niż głupim komunikatom. Czują się urażona.

Pan Edward, uśmiechając się, przerzucał papiery. Wkońcu nie wytrzymał:

— To zapewne z rosyjskiej armji ten pani szwagier?

— Nietylko z rosyjskiej, lecz i od Dowbora.

— E, od Dowbora! — Małecki z wielkiem zajęciem począł oglądać swe paznokcie. Zapadła cisza.

Lipcowe słońce aż tutaj przywędrowało z bulwarów. Wpadło przez okno, i jakby samo dla siebie szukając cienia, rozwalilo się leniwie na stołach, spychając z krzeseł urzędników, zarażając ich swem lenistwem i tępą niemocą. Stanisław co chwila zmienił przy biurku pozycję, raz po raz odkładając pióro, które ciążyło mu w spoconych, bezwładnych palcach. Kolnierzuk uwierał mu szyję. Poszedł do okna i roztworzył je naroścież. Huk aut i wozów wojskowych wpadł do środka, waląc o szafy i budząc stępniały słuch. Żar buchnął na wszystkie twarze, tak, że musiano uchylić drzwi na korytarz dla przewiewu.

— Która jest godzina?

— Dopiero pięć po pierwszej. — Stanisław, zniechęcony, schował zpowrotem zegarek, a Maryla, podniósłszy się cicho, wyszła z wydziału.

— Ciekawym, czy też pannie Kamińskiej uda się zamienić swój urlop?

— Dlaczego ma się nie udać. Ma przecież czarno na białem — świadectwo lekarskie. Że też ten Małecki musi we wszystkim dopatrywać się trudności — myślał Stanisław.

— Świadełstwo doktora to jeszcze nie wszystko. Szaciński może się nie zgodzić, i co mu kto zrobi.

— Jeżeli mamy wychodzić z tego założenia, że ktoś mu ma coś zrobić, to pewnie Ale co Szaciński mógłby mieć za cel nie zgadzać się. Ona naprawdę jest bardzo źle z sercem.

Wszystkie panny skrzywiły się z niesmakiem.

— E, przesada — Helena z lekceważeniem przygryzła wargi, nie podnosząc wzroku od pilnika i pazurek.

— Panie Stanisławie! idzie pan na papierosa? — Pan Edward, a za nim Stanisław wyszli z wydziału. Gdy szli przez korytarz, zauważyli, że i Pilawski wyszedł wślad za nimi. W wydziale wogóle nie można było wiele palić, a już z tem słońcem nie można było dać sobie poprostu rady.

— Patrzcie no!

Pan Edward pociągnął w róg Stanisława. Z gabinetu Szacińskiego wyszła jakoś bardzo prędko Maryla. Trzasnęła drzwiami, była czegoś bardzo blada. Idąc szybko, natknęła się na patrzących i nerwowo wzдрыgnęła się, a przeciągając ręką po czole, usiłowała zatrzeć jakieś wrażenie.

— Słuchaj! co ci się stało? — Jeszcze Stanisław nie skończył pytać, gdy drzwi od Szacińskiego otworzyły się, i starannie przyczesana głowa szefa oraz jego groźne spojrzenie padło w korytarz. Już Szaciński chciał rzucić jakieś ostre słowo, gdy nagle dojrzał ironicznie wpatrzony w siebie oczy Małeckiego.

Wzrok pana Edwarda zdawał się pytać: „Szanowny Pan, zdaje się, chciał coś powiedzieć“. Szaciński jednak nie wyrzekł ani słowa. Schował zpowrotem głowę i jeszcze silniej niż Maryla trzasnął drzwiami.

Gdy młodzi ludzie obrócili się, Maryli nie było już przy nich, zato twarz pana Pilawskiego uśmiechała się do nich porozumiewawczo:

— Pi! pi! Jakie fupy ma ta Kamińska, ktoby to się spodziewał. Nie dostanie, głupia, urlopu.

— Pańska córkaby pewnie dostała! — Małecki był wzburzony i nie liczył się ze słowami, zresztą Stanisław też pogardliwym grymasem zbył uwagę Pilawskiego.

Pilawski, widząc wrogie stanowisko obu kolegów, udał, że nie zrozumiał słów pana Edwarda. Poczzerwieniał jednak jak piwonja.

— Odkąd to pan Małecki zrobił się takim obrońcą cnoty? Dziwne! Socjalista i taki obrońca. Wy przecież nie uznajecie ślubów.

Odwrócił się i szedł dumny do ustępu, nie słysząc czy nie chcąc słyszeć ostatniej uwagi Edwarda.

— Idjota!

— Ale sami powiedzcie, co za bydlę ten Szaciński. On myśli, że to już żadną mu się nie oprze. No, ale jeśli Maryla nie dostanie urlopu, to powinniśmy zrobić awanturę. Jak Boga kocham, choćby sam, a wszystkim rozgadam. Stanisław zaczął nie mniej od Edwarda przejmować się zajściem z Marylą. — Ale co on tam mógł chcieć od niej? — We-

szli wśladać za Pilawskim do przewiewnego ustępu i, stanawszy koło umywalni, przyciszyli rozmowę tak, żeby ich nie słyszał. Przetrzymani go tak dłuższą chwilę. Wkońcu Pilawski wyrzucił przez okno ogryzek papierosa i, nie spojrzawszy nawet, wyszedł z klozetu.

Gdy Małecki ze Stanisławem wracali w jakiś czas potem do wydziału, nagroziwszy się już do woli, wpadła na nich panna Ziuta.

— Ach, jak się przestraszyłam!

— Bo mogłabyś naprawdę tak nie latać ciągle po korytarzu jak bomba.

— Ha! ha! Ale wiecie co? Jestem w siódmym niebie. Od jutra mam urlop!... Edek, co ty masz taką śmieszoną minę... No, mam urlop! Przed chwilą byłam u Szacińskiego. Kto to jest ta Kamińska z waszego wydziału? — Mówił mi Szaciński, że chciała sobie przenieść urlop z października teraz na lipiec, ale jej nie dał, bo mówił, że nie umie się znaleźć, że zachowała się jak panna „nie z dwudziestego wieku“, ale jak kucharka... Ha! ha! — Co wy macie takie głupie miny?

— Samaś głupia!

— No, Edek, licz się ze słowami. Au revoir, panie Stanisławie! Muszę uciekać, bo dwie „godzin“, jak już nie byłam w wydziale. Stukając nowymi lakierkami, uciekła w drugą stronę. A oni z bardzo ostentacyjnymi minami weszli do wydziału i zbliżyli się do Maryli. Ale Maryla nie chciała nawet mówić o tem i prosiła ich jak o łaskę, żeby to dla niej zro-

bił i siedli spokojnie przy biurkach. — Wszyscy patrzą się.

Rzeczywiście, wszystkie panny, nawet i Helena były bardzo zainteresowane, gdyż odpowiedź Maryli, że już się o urlop nie będzie starać, nie mogła ich zadowolnić: „Jaka ważna, a ci jej jeszcze nadskakują. Nie chce nic mówić. Subtelna! Musiało tam coś dobrego być!“

Ani spodziewał się Stanisław, żeby frazes, który wypowiedział w biurze, miał ziścić się tak prędko. Nie minęło i dwóch tygodni, a już szedł jakgdyby nigdy nic w godzinach biurowych wraz z panem Edwardem do P. K. U. (to jest do powiatowej komendy uzupełnień), chociaż nie wiem doprawdy, dlaczego tłumaczyłem ten skrót, tak przecież znany wszystkim młodszemu Polakom jako miejsce, z którego wynieśli oni najmiłsze wspomnienia swoje.

Tak, tak... Pogoda była cudna. Człowiek z przyjemnością poszedłby gdzieś do Łazienek albo na kwaśne mleko, a tu stop! Trzeba było latać od jednych koszar do drugich, wywiadywać się tak na boku od panów kaprali i frajtrów, czy to dobrze w tym pułku? Jacy oficerowie? Od której przepustki? Ćwiczenia? I czy już prędko na front?

Taaak! Pan Stanisław, zarówno zresztą jak pan Edward i kilku jeszcze kolegów, postanowił koniecznie iść na front. Zapanował już taki nastrój w War-

szawie, że ludzie doszli do wniosku, iż w razie, co „nie daj Boże“ w wojsku jeszcze najbezpieczniej.

Idąc ulicą, czytali co chwila z rozpaczą na tro-tuarach:

„Czy ci ta ziemia nóg nie pali“, to znów dla od-miany „Dezerterzy, katami własnych rodzin“ lub „Idź na front“ i tak bez końca.

Kto do djabła ma tyle czasu, by wypisywać to wszystko — myślał Stanisław, a aforyzmy te dezor-jentowały go do najwyższych granic. Miał tylko jed-no pragnienie: raz nareszcie otrzymać tę biało-amaran-tową rozetkę ochotniczą, która chroniłaby go w zu-pełności od piorunujących lub pełnych wzgardy spoj-rzeń, od zaczepiania na ulicy i kawiarniach przez młode panny, w zupełnie, ale to zupełnie innych ce-lach niż dawniej.

Powarjowali wszyscy! Nawet taka Kacia i Ziuta kręciły od dwóch dni już na niego nosem za to, że nie miał tego głupiego znaczka. — Warjatki! Myślą, że to tak łatwo!

Miał tyle pracy z tem wojskiem jak nigdy je-szcze. Powiedział sobie zgóry, że może tylko wstąpić do kawalerji albo artylerji, bo chodzić stanowczo nie może. Dlaczego właściwie nie mógł chodzić ani on, ani Edward, ani jeszcze kilku kolegów, stanowi to nie-zbadaną tajemnicę, której należy szukać bardzo głę-boko, może aż w tradycji narodowej. W każdym razie pan minister wojny oraz naczelne dowództwo powinni być i tak bardzo zadowoleni: przynajmniej

nie mieli oni bezpośrednio takiego kramu z panem Stanisławem, jak z wieloma starszemi jego kolegami, którzy od dawna mieli już ochotnicze rozety i dla których ze względu na ich kwalifikacje trzeba było wymyślać nowe funkcje i czynności.

— Wiecie! Wczoraj mówił mi Baraniecki, że to Szaciński wypisuje to wszystko na tro-tuarach. Mówił, że go sam widział w nocy z pędzlem i kubłem. „Za-dekował się morowo“, a teraz ludzi straszy.

Pan Stanisław nie odpowiedział nic, i gdy Małe-cki zaproponował mu jeszcze raz, by wstąpić dla na-rady na mazagran, oparł się stanowczo.

— Dajcie spokój, to nie ma najmniejszego sensu, od samego rana pijemy tylko to świństwo!

— No to lemoniady?

Osowski postanowił dać dowód swej silnej wo-li. — Nie! Stanowczo nie pójdę. Dzisiaj już nieod-zownie muszę się zapisać. Wiecie, długie buty znowu zdrożały! Nie wiem, czy będę mógł sobie kupić?

To przekonało ostatecznie i pana Edwarda. Po-stanowili myśleć konkretnie i działać niezwłocznie, nie zastanawiając się już nad takimi rzeczami, jak na-przykład: „czyby nie warto wstąpić do lotnictwa“, „pociągów opancerzonych“ albo „marynarki“.

— Pal djabli! Idziemy do tych koszar, w których byliśmy na samym początku. Raz trzeba z tem skoń-czyć. Skręcili w Agrykolę i schodzili nadół pochyłym tro-tuarem. Lecz zwolna zapał ich zaczął słabnąć. Z za-sztachet ogrodów dolatywał ich świergot ptasi, a sze-

rokie konary drzew wołały do nich swym cieniem nad wyraz wymownie i zachęcająco. Nie mówili do siebie ani słowa, ale gdy weszli na zalany słońcem mostek z pomnikiem Sobieskiego, gdy ujrzeli wdali na powleczonym kurzawą błoniu równe ochotnicze szeregi, ćwiczące się czwórkami, gdy usłyszeli komentę panów kaprali i instruktorów — jakoś odrazu zniknął ich zapach. Siedli na barjerce i jedną myślą wiedzeni wypowiedzieli głośno prawie jednocześnie:

— A możeby tak zaczekać do jutra?

Ale nie! nie! Stanowczo nie! Zerwali się i z nieodzwonnem postanowieniem, z rozpaczą w sercu zniknęli wkrótce za bramą, z której wydobywał się jak surma bojowa głos pana „sztabowego“:

— Jak stoisz, „dziadu sakramencki!“ Była baczność!! To ma być „jak pieron strzelił“.

Rozdział V

— Swoją drogą, żeby na stałe służyć w wojsku, to trzeba być skończonym chamem — Stanisław został w baraku, bo zgubił gdzieś swoją menażkę, a pożyczając inną i latać po tę parszywą zupkę nie chciało mu się. Leżał na przychy i z wyraźnym wstrętem spoglądał na swego sąsiada, który ściągawszy buty i onuce, obrzynał sobie kozikiem pazaokcie i wycinał wielkie jak szyszki nagniotki. Miły jednak sopepek, towarzyszący tej operacji, zmusił pana Stanisława do odwrócenia się w drugą stronę i do wzniesienia głowy, nad którą na drewnianej półce mieścił się cały majątek Osowskiego, ułożony w przepisana „kostkę“, a widniejący zdaleka parą pięknie wypieczonych chlebów.

Stanisław był od samego rana już nie w humorze — przedewszystkiem dziś właśnie odszedł na front pan Edward, który, aczkolwiek za bardzo, zdaniem Stanisława czapkował podoficerom, jednakże bądź co bądź był mu najbliższym z całej tej grandy. Stanisław został sam i jeszcze jak na dobitkę przymówił się z frajtrek Owieskiem, co już do reszty popsulo mu hu-

mor. — Cóż ten bałwan myśli, że ja tak sobie zawsze pozwolę; do czasu dzban wodę nosi.

Właściwie z tem „przymówieniem“ to było tak:

Stanisław od kilku dni miewał z samego rana takie straszne mdłości, że aż zameldował się do doktora, który go wprawdzie wyśmiał, ale w przystępie dobrego humoru dał mu na dwa dni zwolnienie od „wolnych ćwiczeń“.

Szeregowy Osowski w drodze, ściśle służbowej, zameldował to swemu instruktorowi Owieskowi, który rzecz przyjął i uwzględnił, polecając wzamian panu Stanisławowi zasypać starą pułkową „latrynę“, gdyż oficerowie oddawna domagali się tego w sposób, bardzo energiczny.

Szeregowy Osowski, nie zwlekając z wypełnieniem rozkazu, zaraz po pobudce, gdy jedna partja ułanów wymaszerowała na front, a druga ćwiczyła się na kadrowym dziedzińcu, wziął się ochoczo do pracy. Nie wiadomo jednak z jakich powodów dostał tak silnych mdłości, iż musiał na chwilę porzucić szpadel i udać się nieopodal do pułkowej kantyny na szklanę piwa.

Gdy wracał, natknął się na samego Owieska:

— A wy co się tu włóczycie jak ta ofierma?

Stanisław stanął na baczność.

— Chodziłem do kantyny, panie instruktorze!

— A ja wam co kazałem robić?

— Zасыpywać „latrynę“ panie instruktorze!

— Zaraz to zobaczymy. — Starszy ułan, Owiesek, poszedł przodem, za nim pan Stanisław...

— To to jest zasypiana „latryna“?

— Jeszcze nie zdążyłem, panie instruktorze, bo...

— Co za bo?... Baczność! Jak do mnie mówicie... Gdzie szpadel?

Stanisław ze zdziwieniem rozejrzał się dookoła. Rzeczywiście, szpadla nie było. Zostawił go przecież tutaj niedalej jak pięć minut temu.

— Gdzie szpadel?! Dziadu sakramencki!

— Panie instruktorze! Ja poprostu nie wiem, pięć minut, jak go tu zostawiłem.

— To menda jedna!! Szpadel sam zostawia. Staniecie dzisiaj do karnego raportu!

— Rozkaz, panie instruktorze!

Tak się skończyła „przymówka“ ze starszym ułanem Owieskiem, i nic dziwnego, że pan Stanisław był w dość kwaśnym humorze.

Człowiek zupełnie bydlęcieje w tem wojsku. Razby już wysłali na ten front, jeżeli nawet „przepustek“ nie chcą dawać. — Swoją drogą dzisiaj mniej niż kiedy indziej odgrażał się tym frontem. Przed samym obiadem przywieźli kilkunastu rannych. Brrr.. bardzo nieładny widok. Zabijają, to jeszcze połowa biedy, ale tak „pocharatać“... — niemiło.

Psia krew! Żeby zaraza wybiła tych bolszewików, nie mogli to siedzieć spokojnie, nie byłoby tego wszystkiego. Teraz znów zaraz tamten idjota trąbić będzie na ćwiczenia. Cisnął się na pryczy tak, aż mu jakiś kołek wlażył w bok. — Mój Boże! musi siedzieć

w tej zapowietrzonej dziurze, co to ani wieś, ani miasto; a tam... teraz w Warszawie... — Łzy mu cisnęły się do oczu. Dopiero teraz zaczął oceniać, co to jest za szczęście mieć swój własny pokój, własne łóżko, nawet klozet prywatny! Przypomniawszy sobie Helę. Wybaczył jej już wszystko i zapomniał wszystkie jej humory. Żegnała się z nim tak serdecznie, prawie czule. Prosiła, żeby napisał list, „ale do niej, tylko do niej, nie taki do całego wydziału“.

Nie napisał dotąd ani słowa. Kiedy miał zresztą pisać i gdzie? Czy na tym stole, na którym zawsze ktoś siedział, a jeśli nie siedział, to dlatego, że był cały zwalany zupą albo skórami ze śledzi. Ani do Heli nie napisał, ani do matki, ani do Maryli. Co do matki, czuł nawet pewien niepokój, wiedział, jak przejmowała się byle głupstwem, i pamiętał, jak strasznie na odiezdnem prosiła go o te listy:

„Staśku! chociaż słów parę, chociaż tyle, że żyjesz...“ Maryla odprowadziła go na sam dworzec, dała mu pięćset papierosów i cztery tablice czekolady. Była jego chrzestną matką. Aż śmieszne, jak się przejęła tą rolą. Brat jej, Leon, „zadekował“ się gdzieś w kancelarji, a ona i rada była z tego, i wstyd jej było jednocześnie.

— A wy co tu robicie?

— No nic. Nie poszedłem na obiad, to mi chyba wolno — Stanisław postanowił pokazać Owieskowi rogi i dlatego nie ruszył się nawet, gdy ten wszedł do baraku.

— Krócej no trzymajcie tą buzię, krócej! Tu wojsko jest!! Inteligent, psia jego mać!!! Toś nie nauczył się jeszcze, „gnoju“ jeden, że w dzień po przy-czach nie wolno się rozwalać?

Pan Stanisław stanowczo nie miał tego dnia szczęścia.

— Kanonier, wróć!

Jakiś o gapiowatej gębie żołnierz, który przed chwilą potracił Stanisława, zatrzymał się na dźwięk tych słów i wolno kołycząc się na pałkowatych nogach, wracał ku Osowskiemu.

— Z jakiego jesteście oddziału?

— Z trenów piątego „papu“.

— To was tam nie uczyli salutować?

— Uczyli!

— Jak mi jeszcze raz nie zasalutujecie, to was każę zamknąć... Odmaszerować!

Gapiowaty „treniarz“ odszedł w jedną, a Osowski w drugą stronę. Powtórzyła się więc tylko jeszcze raz historia, która jak wojsko wojskiem zawsze powtarzać się będzie i zawsze w takiej, a nie innej formie, zważywszy na to, iż jedni twierdzą, „Frajter po Bogu następuje zaraz“, a drudzy „koza nie bydlę, frajter nie szarża“ powiadają.

Z tych dwóch, tak bardzo skrajnych sądów trudno jest prostemu żołnierzowi istotną prawdę wyłowić zwłaszcza, iż nawet regulaminy różnych armii różnie tę rzecz oświetlały. Inteligentny żołnierz (słu-

żyłem w armji w charakterze szeregowca) w tej skomplikowanej sprawie kieruje się zwykle bardziej intuicją, „bo ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić...“

Swoją drogą starszy ułan, Osowski, postąpił sobie cokolwiek lekkomyślnie i ryzykował coś nie coś wysuwając artylerzyście propozycje salutowania frajtrowi.

Miałem przyjaciela, który, będąc w podobnych warunkach, na identycznie taką samą propozycję wysunął ze swej strony drugą, tak silną i dosadną, iż czułbym się mocno zażenowanym, gdyby która z moich czytelniczek usiłowała mię skłonić do przytoczenia jej w oryginale.

Ale nie sądźmy zbyt ostro Stanisława. Aczkolwiek zajście, powyżej opisane, miało miejsce na froncie, aczkolwiek skarcony żołnierz należał do tego rodzaju broni, który wysoko nosi sztandar swej godności, jednakże „treniarz“ jest zawsze tylko treniarzem i marnieby to było, gdyby starszy ułan zezwolił bezkarnie potrać się takiemu. Przytem Stanisław był już innym człowiekiem. Front zmienił go do niepoznania. W tej ostatniej kontrofenzywie z nad Wisły, aż hen, po nieprzebrane puszcze litewskie, wytrzymał na koniu cały swój lęk, całą swą nieśmiałość i zupełnie innym już okiem peczęł spoglądać na życie. Wchodząc na kwaterę, powtórzył sobie Stanisław. — Jak mi jeszcze raz nie zasalutuje, przymknę go jak amen w pacierzu.

Los chciał jednak inaczej, i ledwo Osowski wszedł do mieszkania, zastał w niem sam niespodziewanie żandarmów, to jest kanarków, a właściwie giłó, które to gile zabrały, a następnie zamknęły pana Stanisława. Był niepomiernie zdziwiony. Próbował dowiedzieć się za co? lecz dowiedział się tylko tyle, iż ma stanąć przed sądem wojennym.

Jakiś napót już zidjociały ze starości cywil, i trzeba jeszcze trafu, że dawny sędzia z miasteczka, rzucił podejrzenie na Stanisława, jakoby ten brał udział w awanturze, która wstrząsnęła niedawno bolszewikom odebranem miasteczkiem.

Kilku „treniarzy“, a pomiędzy nimi niby Stanisław, podpiwszy sobie „na całego“, zaczęło jakąś czternastoletnią dziewczynę i pomimo jej uporu, korzystając z ciemnej nocy, zniewoliło ją pokolei, tak, iż tę w stanie nieprzytomnym odwieziono do szpitala.

Sprawa bardzo szybko doszła do władz. Groziła ona sądem polowym, i nic też dziwnego, że Osowski speszył się cokolwiek, gdy jedyny, a poturbowany przez żołnierzy świadek zajścia, ów właśnie były sędzia, spojrzawszy się bacznie z za ciemnych okularów na Stanisława, pokiwał smutnie głową, poznając w nim winowajcę.

W areszcie cała groza położenia przedstawiła się Osowskiemu czarno na białem. Z początku oburzony, walił pięściami w drzwi celi, krzycząc, żeby puścili go natychmiast. Uciszone go jednak bardzo prędko i skutecznie. Próbował więc pertraktacyj.

Z wypiekami na twarzy starał się spokojnie wyłożyć „profosowi“, że to nie będzie miało przecież nic przeciw dyscyplinie, gdy pozwoli mu pod strażą pójść do kilku kolegów, a nawet oficerów, którzy „zaświadczą“, „wytłumaczą“...

Profos jednak nie chciał słuchać:

— Jak mają co zaświadczyć, to zaświadczą na sprawie. Nie macie się co denerwować, sprawa za kilka godzin.

Stanisław wpadł w rozpacz. Rozpacz jego była tem większa, iż abawiał się, że nie będzie mógł dowieść swojego alibi. Nocy tej, której „tamte dranie“ tak się popisały, wyszedł właśnie z kwatery i włóczył się po polach całe godziny. Nie spotkał nawet nikogo ze znajomych.

„Ano urządził się!“ i „Nawet piękną śmiercią zginie!“

Na sprawie był blady jak papier. Patrzał się uparcie na sędziów i wołał do nich wzrokiem, wołał z rozpaczą, że to nie on! nie on!!

Gdy usłyszał pytanie, nie zrozumiał go w pierwszej chwili. Musiano mu je powtórzyć:

— Starszy ułan Osowski, coście robili w tym czasie?

— Chodziłem... Byłem na spacerze.

— ?—...

Zrozumiał, że nie uwierzą, zrozumiał w tej chwili, a nie miał żadnych dla sądu dowodów, by poprzeć swe słowa.

— Kto z wojskowych lub cywilnych może zaświadczyć, że widział was w tym czasie? Czy starszy ułan może wskazać takiego?

— Tak!... Właściwie nie, ale mój komendant, pan porucznik Łętowski, może zaświadczyć, że ja nigdy...

— Proszę, niech starszy ułan Osowski odpowiadają na pytania: Pytam ostatni raz: Czy widział kto Osowskiego, gdy spacerował po polu?

— Nie!

Nie pytano go już więcej.

Badano jakichś świadków. Widział jak przez mgłę jakąś wynędzniałą kobietę. Patrzała na niego z pod chustki z tępem nieubłaganiem w oczach. Miała bardzo żółtą twarz i szerokie, silnie zagryzione usta o niezmiennym tragicznym wyrazie. Zląkł się tych ust. Czuł, że serce bije mu jak młotem. Ta matka przypomniała mu, nie wiedzieć czemu, jego matkę. Czy jego matka wie?... Wie, że on?...

Przecież sprawa zaraz się skończy, to jest zupełnie jasne. Dostał silnych dreszczy.

Nagle niezmierną nadzieją uderzyło go pytanie:

— Czy kapral Owiesek też stanowczo twierdzi, że starszy ułan Osowski był z nimi?

Były instruktor obrócił oczy na Stanisława. Na chwilę spokaly się ich oczy. Fala lodowatego mrozu oblała ciało Osowskiego, a dotkliwy ból szarpnął go za gardło. Nie mógł przelknąć śliny.

Chłop i inteligent przez długą, straszną chwilę

patrzyli sobie w oczy. Nakoniec nieme błaganie Stanisława obudziło w oczach chłopca jakiś błyski. ,

— Kapral Owiesek, proszę odpowiadać!

Były instruktor powoli przeniósł oczy na przewodniczącego; były one znów tępe, lecz nawet powieka nie zadrgała nad niemi:

— Tak, twierdzą stanowczo!...

Malutkie pasemko odbłasku słonecznego wisiało czas jeszcze jakiś nad murem, grając krwawymi blaskami na zmurszałym, podziurawionym kulami tynku. Zniknęło.

— Którzy się chcieli spowiadać?

— Matysiak i Osowski.

Równy rząd karabinów, stojących przy nogach żołnierzy, hipnotyzował Stanisława. Czuł taką pustkę w głowie, jak kiedyś w owych pokojach umeblowanych. Dławiący nie do zniesienia ból ścisnął go za serce, które chwilami przestawało bić, to znów waliło z taką siłą, że łoskot jego czuł w skroniach. W ustach miał krew. — Od czego ta krew?

Stał na palce, gdyż uczył nagłą potrzebę zajrzenia do środka tych luf, które jakgdyby dopiero pierwszy raz teraz ujrzał. Nagle zadrżał. — O kilka kroków na lewo ujrzał ciemny otwór świeżo wykopanego rowu. Szeroki szpadel tkwił w wilgotnym piachu. To jedno spojrzenie zjeżyło mu włosy na głowie! Jak szalony począł się modlić! Byle tylko zdążyć! Byle jeszcze zdążyć!

„Ojcie nasz, któryś jest w niebie, święć się imię twoje“... Pomylił się. Jezus! Marja! pomylił się, nie zdąży! Matka! Helena! Sprawa! Niewinny! Nic nie napisał! „Ojcie nasz, któryś jest w niebie... „Wierzę w Boga!“ Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego! Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego!!... Strzelą zaraz; za moment! W głowę... Jezus! Marja!!!...

— Panie poruczniku! skazany Matysiak chciał poczynić zeznania. — Ksiądz zbliżył się do oficera, który stał nieopodal, obrócony tyłem przed frontem też tyłem obróconych żołnierzy.

— Proszę księdza, ale ja nie mogę odwlekać egzekucji — może na miejscu piśmiennie. — Nachylił się do ucha miejscowego plebana. — Żołnierze są już i tak zdenerwowani.

— Panie poruczniku! jednakże podobno ten drugi, co go miałem spowiadać. Ten... Osowski jest niewinny...

— Pijemy, panowie! pijemy! Tylko z rozumem nalewać, żeby nie rozlać wódki!

Stanisław podstawił swój kubek. Feta była na jego cześć, a urządzali ją koledzy, sama stara wiara pułku.

— No, Stasiu! do dna! Za tego drania Matysiaka. Już mu tam pewnie niedługo konwalje z zadka wyrosną.

— Dajcie spokój! zawsze, żeby nie on, leżałby sobie teraz Osowski pod murkiem.

— Zdrowie twoje, Stasiu!...

...Tfu! Ale też z aromacikiem. Denaturat czy „ki djabeł“.

— Nie bluźniłbyś, nie bluźniłbyś, Stankiewicz. Jakiś pierwszy raz szli na Wilno, to jak Boga kocham, sam widziałem, jak porucznik pił ze szpitalnej blaszanki spirytus, co to opowiadali, że zaropiałe rany tym spirytusem wycierali.

— Wiadomo — Łętowski pijanica.

— Pijanica nie pijanica, ale porządny chłop. Dziś nam tę wódkę za pół ceny odsprzedał, że to ni-
by, mówił, warto oblać „cudowne ocalenie“.

Stanisław pił swoim blaszanym kubkiem, bo zresztą nie wypadało inaczej oblewać swego własnego ocalenia. Ostatnie wrażenia były tak silne dla niego i tak szybko następowały po sobie, że zatracił po prostu świadomość ich rzeczywistości. Czuł teraz tylko, że o ile ta nowa menażka ze spirytusem wyjedzie na stół, to zwali się poprostu pod ławę. Wogóle niepotrzebnie wydoił jeszcze to piwo.

— Kosiński! dajcie no mi jeszcze śledzia — prosił kapral Stankiewicz.

— Niema żadnego śledzia. Papieros najlepsza przekąska!

— Ano więc tak będzie, że spijemy się jak świę-
nie.

— „Szkodzi nic“. Nie będziemy wracać na kwa-

tery, tylko się tu u Osowskiego zdrzemniemy... Patrzajcie! Stasiu już sobie zalał pałę.

— Nie, co znowu. Dajcie mi tylko kawałek cytryny, a piję od nowa.

— Do rana! do samego rana, panowie! Jak zlu-zowanie, to zlu-zowanie. Niech się teraz inni biją, my odpoczniemy.

— Łętowski wczoraj mi mówił, że pewnie ca-
łe cztery dni będziemy jeszcze tu stali... Co to?!

— ...Poczekajcie, zaraz!

— Alarm!!

— Jak Boga kocham, alarm!

Zerwali się z miejsc i, waląc łbami o ściany, chwytali szable, szybko zapinając rapcie. Ktoś otwo-
rył drzwi. Fala świeżego powietrza tak odurzyła Sta-
nisława, że zatoczywszy się, o mało nie wyrzucił Ko-
sińskiego, który pozostałą wódkę szybko zlewał do
manierki.

— Odsuń no się, Stasiu, bo ci dam w łeb! Spi-
ło się niemowlę i na nożętach ustać nie może.

Za chwilę byli już w stajniach.

— Nastąp no! Nooo!!!

— To choroba, rozdyma się i rozdyma, że po-
pręgów dociągnąć nie mogę. Małom sobie zębów nie
połamał. Nooo!!

Uparte rumaki, dostawszy kolanem w brzuch lub
pięścią w pysk, dały jednak za wygraną, i w kilka
minut cały szwadron stał już gotowy do drogi.

W ciemności pojawił się Łętowski. Był już na

koniowi. Skomenderował — „Szwadron maarsz!“, a w chwilę, gdy wyminęli już wieś, zakrzyknął „Kłuuus!“

Dopadli do lasu i mknęli cicho wśród ciemności.

...Droga zwężała się. Po jakimś czasie jechali już tylko dwójkami, potykając się raz po raz w wyboistych kolejach. Nagle Łętowski skręcił w boczną ścieżkę i kłusował dalej bez słowa.

— Psia kość! Całą żem sobie gębę podrapał o te chojary. Wyrzną jeszcze gdzie łbem, i djabli mię wżmą. Stanisław nic nie odpowiedział Kosińskiemu, bo musiał właśnie wycofać się wtył, gdyż ścieżka stała się tak wąska, iż trzeba było jechać pojedynczo.

Alkohol powoli począł mu parować z ciężkiej jak z kamienia głowy. Ze wszystkich sił począł wciągać w piersi chłodne, nocne powietrze. Spojrzał w niebo:

— Ciemno, że i w pysk daj! Jakaś gałąź uderzyła go po twarzy, więc jechał dalej, skulony, myśląc tylko o tem, żeby nie uderzyć się czasem w jabłko kolanowe, gdyż znał już ten ból z doświadczenia...

...No, ale którądy mamy teraz jechać? Łętowski jest dowcipny, rozsyła łączników, tylko sam nie wie, gdzie.

— Jabym radził jechać na lewo.

Stankiewicz obruszył się. — Dlaczego akurat na lewo?

— Bo tam powinna by wieś. Samem ją przedwczoraj przy białym dniu widział.

— E tam, przy białym dniu. Wogóle nie wiem,

gdzieśmy się znaleźli. Niepotrzebnie kręciliśmy tylko. Trzeba było jechać prosto.

— To jedźmy prosto. Zresztą mię głowa o to nie boli. Tyś kapral, i przy tobie komenda.

Jechali równem ścierniskiem, znacząc się czarnymi sylwetkami na tle szarej nocy. Na horyzoncie z żadnej strony nie było nic widać. Począł mżyć lekki deszcz.

— Mogłoby się coprawda już raz rozwidnić. Nic nie widać i nie widać. Musimy chyba jechać po jakiejś górze, bobyśmy przecież już dawno jaką wieś napotkali.

Stanisław wstrzymał konia. — Poczekajno! Kule idą od lewej ręki, to znaczy się od naszych, bo bolszewicyby nie atakowali. Powinniśmy, jak mówiłem skręcić w lewo.

— „Kudy“ tam w lewo! Słyszysz, ze wszystkich stron kule gwizdzą. Dobrze jeszcze, że fruują nad nami. Pojedziemy tak, jakeśmy dotąd jechali. Nie zawrócę już za żadne skarby. Jak się Łętowski pomylił, to jego w tem głowa.

Stanisław już nic nie odrzekł i jechał dalej w milczeniu, nie uważał jednak, aby jeśli się pomylili i wpadli do bolszewików, była w tem głowa Łętowskiego. Po jakimś kwadransie drogi zamajaczyły przed nimi niewyraźne kontury wsi. Stankiewicz triumfował:

— Widzisz, smarkaczu, nie mówiłem ci, że do brze jedziemy. Patrz! tam jest ta wieś, i tak, jak mówiłem, byliśmy na górze, dlatego nie było jej widać.

Zjeżdżali po pochyłości, ściągnawszy krótko konie i szukając jakiejś gospodarskiej drogi, która powinna być tu w pobliżu. Deszcz przestał padać, ale chmury waliły ze wszystkich stron, coraz to nowe, zbijając się w olbrzymią czarną bryłę nad ich głowami...

— Cicho no!

— Co cicho?

— No cicho, kiedy mówię. Tam za temi drzewami coś się rusza. Słyszysz, jak chrzęści?

— Tobie we łbie chrzęści — Stankiewicz nagle wstrzymując konia, jechał dalej.

Nagle!...

Stanęli jak wręci. O jakieś piętnaście kroków przed nimi z mroku napoły spróchniałej wierzby, wychnęła ku nim jakaś postać, a obcy głos zmroził im krew w żyłach:

— Kto idzie?

Bez słowa zawrócili konie na miejscu i, dawszy ostrogę, umykali pod górę co tylko sił.

— Kto idzie!?

Stanisław przywarł do konia. Wpił mu całą ostrogę w brzuch i czekał, bliski szaleństwa, na ten strzał, który powinien nastąpić w tej chwili tuż za jego plecami.

— Nie strzelać! Swoi! — Stankiewicz krzyknął po rosyjsku i wstrzymał konia. Osowski tymczasem jeszcze silniej gwałcił swego. Przez głowę przelatowały mu myśli:

Może „zwięc“; nim jego zabiją! Boże! byle prędzej! Tam zaraz już będzie po nim!

Usłyszał strzał!

Zabili go! — wrzasnął na całe gardło i z całej siły szarpnąwszy cugle, zawrócił i gwałcił niepomny na nic, ku bolszewikom.

— Zawracaj, durniu! zawracaj! — Stankiewicz wyrósł nagle na pochyłości i jechał już tysią, przywarłszy całym ciałem do końskiego barku.

Stanisław z rozpaczą obracał znów loszalego konia. Teraz biegł już za kapralem, mając jedno marzenie w sercu, by dognać go jak najprędzej. Grad kul świsnął mu koło uszu.

— To nic! Strzelają jeszcze z dołu, nie widząc nikogo. Teraz dopiero nam dadzą! Walił ostrogą konia, ile sił w nogach.

Znów usłyszał huk, lecz dopadł już Stankiewicza. Jakis czas pędzili razem, jakby za wszelką cenę starając się wyścignąć. Kule świsnęły ciągle wkoło nich. Powoli jednak zaczęły cichnąć. Gnał tak, aż konie zaczęły słabnąć, całe oblane potem.

Gdy spojrzeli za siebie, nie ujrzeli już ani wsi, ani co ważniejsza, bolszewików. Na wschodzie świt wstawał, blade. Konie zwolniły biegu.

— To była piechota. Nasze szczęście!

Stanisław nie odrzekł nic, tylko wypuścił lejce ze zgrabiących od natężenia palców.

— Stasiek! Ty... ty jesteś ranny...

— Gdzie? — ze zdziwieniem pobiegł za wzrokiem kolegi i spojrzął na swoją rękę:

Była cała we krwi. Czerwone krople cienkimi strugami spływały po końskim karku ze wszystkich jego palców.

Wówczas zemdlął...

Po dredze jeszcze wstąpił do krawca i kazał sobie przyszyć do kołnierza nowy „wężyk“, bo stary szerniał mu zupełnie na froncie. Właściwie wężyk był za szeroki i jeśli, jak zapewniał go krawiec, nie był oficerskim, to w każdym razie, biorąc rzecz ściśle, regulaminowo przysługiwał podoficerom. Ktoby jednak tam zważał w takim czasie na regulaminy, zwłaszcza, że niezależnie od nich różne D. O. K. wydawały różne dla ochotników przywileje. Tak, na przykład, w „koalicyjnym pasie“, jaki miał na sobie Stanisław, mógł zupełnie bezpiecznie paradować po całej Warszawie, w Krakowie natomiast mógłby się narazić na grubszą nieprzyjemność, w Poznaniu zaś „przyniknęliby“ go już jak amen, w pacierzu. Wogóle czuł się Osowski bardzo butnie i od niechcenia tylko salutował oficerów, którzy „dekowali“ się tutaj po różnych kancelariach. Ręka nie bolała go już prawie wcale i tylko dla szyku nosił ją jeszcze na temblaku. Wyczyścił się też dzisiaj i odprasował na wszystkie kanty.

Ciekawy jestem, jakie zrobię wrażenie, gdy wej-

dę tak, jakgdyby nigdy nic, do wydziału. Co też mi powie Helena?

Do biura szedł dopiero pierwszy raz od czasu swego przyjazdu na ten urlop zdrowotny. Wybierał się wprawdzie codziennie, ale jakoś się tak samo zwlekało. Idąc teraz ulicą, raz po raz zerkał na przechodzące kobiety, to znów przeglądał się w wystawowych szybach, konstatuując za każdym razem, że wygląda bardzo „solidnie“ i wogóle może się podobać.

— Niema jednak jak wojsko! Człowiek zupełnie inaczej się czuje. Rzeczywiście, czuł się zupełnie inaczej niż przed wstąpieniem i był pełen najlepszych nadziei. Postanowił nieodwołalnie zaraz po zdemobilizowaniu się rzucić to całe biuro i nie zwracać sobie wogóle niem więcej głowy.

— Nie rozumiem nawet — myślał — jak mogłem przez tyle czasu marnować się w tem więzieniu, kiedy wystarczy głowę na świat wychylić, żeby znaleźć coś korzystniejszego i przedewszystkiem zapewniającego jakąś przyszłość.

Stanisław rozmawiał już o swoim losie ze Stankiewiczem. Stankiewicz był chłop morowy, był przecież jego kolegą, tak samo, jak i on, ochotnikiem. Poza tem miał „grubszą flotę“ i kilka folwarków. Uradzili, że Stanisław zaraz po zwolnieniu z wojska, nie kończąc nawet agronomji, „bo ta jest konieczna, ale dla idjotów“, pojedzie na jeden z folwarków, odbędzie tam przez rok praktykę, rzecz prosta, płatną, tak, żeby mógł utrzymać matkę, a po-

tem Stankiewicz wypuści mu coś w dzierzawę. — No i co? nie morowo?

Potrzebował tylko ręką sięgnąć. Trochę tylko znajomości. A drudzy marnują się i rady sobie nawet dać nie potrafią. Taki Leon Kamiński. Bał się nawet iść na front, tylko w kancelarji coś skrobie i u siostry siedzi „na garnku“. Faja i nawet świnia, bo ona rzeczywiście nie powinna teraz pracować. — Żeby Leon był prawdziwym mężczyzną — myślał Stanisław — to skombinowałby skąd trochę floty i wysłał ją do jakiego sanatorium. Jakem ją zobaczył teraz, tom ledwo poznał.

Tak, Maryla na serjo czuła się bardzo źle, a doktor przez dwa tygodnie zabronił wstawać jej z łóżka. Nie chodziła więc teraz do biura, drżąc jednak ciągle, że tam życzliwi dołki pod nią kopią, że urlop przepadł już jej bezpowrotnie, tak samo zresztą, jak semestry Leona na uniwersytecie, których przecież po powrocie z wojska tak prędko nie odrobi.

Jakże też czuła się szczęśliwa, gdy zobaczyła Stanisława. Był taki dobry, że odwiedził ją przecież i rozmawiał tak długo. Miał takie dobre nadzieje na przyszłość; mówił ciągle o nich i ani słowem nie wspominał nawet o Leonie. Była mu za to wdzięczna jak i za ten list, który, aczkolwiek krótki, ale zawsze napisał. Zauważyła, że się nietylko opalił, ale i zmężniał jakoś. Ona tylko wyglądała przy nim jak opłatek i długo po jego wyjściu, szczypiąc długimi przezroczystymi palcami kołdrę, myślała o tem, aż

rozpłakała się wkońcu biedaczka; pierwszy raz od początku choroby...

— Jednakże to jest poprosu zadziwiająca rzecz, jak ja mogłem przez dwa lata wegetować w tej atmosferze biurowej -- myślał Stanisław, czekając na Helenę.

Helena właśnie weszła do wydziału.

— Pan Stanisław! Co za niespodziewany gość!

— Zapewne i nieoczekiwany.

Zadzwoił ostrogami i śmiało zbliżył się do panny Rudzińskiej. Był zupełnie swobodny. Nie miał dawniej tej swobody, zwłaszcza w stosunku do Heleny, lecz teraz wracał, owiany nią z frontu, na serjo z frontu, gdzie wiatr szeroko roznosi beztroskie piosenki żołnierskie, gdzie śmierć się co dnia z człowiekiem zabawia „oczy w oczy“.

Zażenował ją trochę tem śmiałym zachowaniem. Zkolei i jej wydał się innym ten pan Stanisław. Uderzyła więc w jego ton. Podniosła głowę:

— Dlaczego pan mówi „zapewne i nieoczekiwany“. — Teraz jednakże pod wpływem jej wzroku zmieszał się jak dawniej. Spuścił oczy i rzekł melancholijnie, przyciszywszy głos:

— Wie pani, że chciałbym być tym oczekiwanym. — Słów jego poza nią nikt nie mógł usłyszeć. Oparł się o jej biurko, a ona powłóczytem spojrzeniem odpowiedziała na jego słowa; takim samem, jak kiedyś w tej dorożce, gdy wracali z balu.

, Długo patrzała w jego oczy, starając się w nich doszukać tej chwili, wydobyć ją nawierzch i skuć go łańcuchem wspomnienia.

Lecz on właśnie postanowił być wolnym. Odwrócił oczy, bo czuł najwyraźniej, że jeśli otworzy swe serce na to spojrzenie, to ulegnie, ulegnie nietylko tym oczom, ale wszystkim tym myślom, tym małym troskom, jakimi żył w tem biurze; czuł intuicyjnie, że ulegając jej, ulegnie jakiejś słodko-mdławej słabości. Tak, słabości, którą żył przez dwa lata.

Broniąc się tej myśli, zapytał głośno:

— A pan Edward nie był jeszcze na urlopie?

— Nie. Zdaje się, że nie.

Rozłożyła papiery i zdawała się liczyć. To przstraszyło go jeszcze bardziej. Wszystko tak samo — pomyślał — zupełnie tak samo. Kiedy Pilawski począł się jeszcze rozwodzić o drożyznie, pożegnał się szybko i wyszedł.

— Ciekawym, czy się na mnie obraziła, czy nie? A zresztą wszystko jedno. I tak się z nią nie będę żenił, bo to byłoby wierutnem głupstwem. Żenić się w początkach samej kariery. Przytem ja będę siedział na wsi, a ona zrosła się już pomimo wszystko z tem całym biurem.

— Papa szefem wydziału! Wielki urząd!

Pchnął drzwi i wszedł do cukierni. Siedząc przy kawie i wyglądając przez szybę, myślał. — A jednakże skombinować sobie z niej kochankę, to byłaby morowa rzecz.

Zląkł się jednak, znów nie wiedzieć czemu, tej myśli. Uczuł, że traci tupet, więc z uwagą począł rozpatrywać przechodzące ulicą kobiety — konstatuując co jakiś czas, że ta ma ładne nogi, tamta biust wydatny. — Wogóle masa jest kobiet, grubo ładniejszych od Heleny.

Doznawał jednak pewnej ulgi na myśl, że urlop kończy mu się pojutrze i że nie będzie potrzebował już chodzić z wizytą do biura...

Ministerstwo słało jedną za drugą „reklamację“, a owocem tych reklamacyj było, że jeden urzędnik za drugim, sekretarz za młodszym referentem — wracali do dawnych swych biur i dawnych „konceptów“. W rozlicznych kancelarych wojskowych robiło się przestronniej po pozbyciu się różnych inteligentów, którzy przez czas tych ciężkich miesięcy z całym zaparciem się siebie dla ukochanej Ojczyzny przepisywali stare wojskowe dzienniki.

Wrócił więc pan szef Szaciński, witany owacyjnie, jak zawsze młody, jak zawsze piękny, tylko znacznie dumniejszy. Miał przecież w klapie żakietu tak jak i kilku jeszcze kolegów znak, który sam zdawał się mówić za niego — „Stanęli w potrzebie“.

Kilku, wprawdzie najmniej przystojnych, najmniej sympatycznych i o najmniejszych kategoriach płacy urzędników nie wróciło zupełnie, ale to głupstwo. Śmierć ich przydała się przecież, bo w jakimś

czas już potem pan Szaciński, dyskutując z kimś politycznie, powiedział:

— A myśmy tutaj stanęli wszyscy jak jeden mąż. Niczegośmy nie żalowali, krwi nawet własnej. Czterech nas przecież zginęło w bitwie!...

Pan Stanisław siedział gdzieś jeszcze daleko na Litwie, i gdy już dziewięć dziesiątych kolegów jego wróciło dawno do domu, do niego nawet słuchy o zwolnieniach nie doszły. Nie było w tem wprawdzie nic dziwnego. Szwadron jego stał na najdalej wysuniętej placówce, w głuchych, zapadłych wśród lasu Wydrwiwiskach czy — lizkach, gdzie wieści najczęściej przychodzą wraz ze starymi dziadami, lirnnikami, ogromnie podobnymi do tych z przed lat kilkuset.

Było zawieszenie broni. Kto tam jednak wiedział, kogo to co obchodziło, czy komisja pokojowa zjechała się już czy też nie.

Dobrze było „okrutnie“ panu Stanisławowi, gdy się na jego kwaterze chłopci i dziewczki na „wiczerynkę“ zbierali, albo dudziarz stary śpiewał pieśni o „Diemjanie“.

Za kominem świerszcze się darły w niebogłosy lub dziewczka jakaś, gdy ją Stanisław nazbyt przez flirt uszczypnął. I dobrze było, ach, jak dobrze!

Zatracił poczucie czasu i wieku, w którym żyje, tak nic się nie zmieniło w tej wsi, otoczonej lasem, bogatej, a niedotkniętej zupełnie stopą wojny.

— Ty, panie Osowski! co masz wracać do do-

mu — żeń się z moją córką, tak gospodarstwo dostaniesz i zbywać na niczem nie będzie.

Stanisław na takie dictum maczał chleb w złotym miodzie, świeżo przez gospodarza z bardzi przyniesionym, i mówił mu:

— Chłopie! toż ja nie cham, żebym twoją córkę brał, i nie takiej mi żony potrzeba.

W zasadzie jednak przyznawał w duchu, że i taka żona przydałaby mu się bardzo i nic mu w zasadzie nie było potrzeba. Więc klepał po ramieniu zlekka tylko cbrazonego chłopca, udobruchawszy go nabojami, na które bardzo był łasy.

Wszystko jednak ma swój koniec, a w szczególności szczęście ludzkie. Pokój został zawarty, i trzeba się było cofnąć, cofnąć daleko wstecz za te wszystkie lasy dostojne i ciche, a gościnne, że nie można już lepiej.

Ze łzami w oczach żegnał się pan Stanisław z kwaterą swoją i gospodarstwem.

— Nie żal wam, że odchodzimy? — Bolszewików wam nie strach?

— A co nam ma być strach. Pewnie, że i żal, tak i radzim z serca, zostańcie. A bolszewiki, byle tylko dobrzy ludzie byli, to my nie stoim o to. — Paszę to i wy brali i poswawolili co nieco. Tylko już my do was nawykszy.

— Głupie chamy jak te pnie w lesie — myślał Stanisław, ściskając z rozczuleniem rękę gospodarza,

a potem czulej nieco ściskając się za stodołą z jego córką.

Gdy wyjechali z tych lasów, duszniej mu jakoś było, choć na szerokich traktach, i ciężko jakoś dudniły w uszach armaty, jaszczce i wozy.

Któregoś dnia, gdy zjechali się z pułkiem — dowiedział się o zwalnianiu wszystkich ochotników. Począł myśleć poważniej o swojej przyszłości, a sił mu przybyło tyle w tej puszczy, że gotów był jak niedźwiedź brać się za bary z każdym losem i walczyć aż do ostatnich sił.

— Tylko patrzeć, jak nas zwolnią — mówił Stankiewicz. — U mnie, bracie, w lubelskim, nie będziemy mieć takich lasów, ale nie bój się, jeszcze i w Polsce jest na co zapolować.

Tego samego dnia Stanisław dostał depeszę. Zdumiał się. Z początku nie mógł nic wymiarkować i musiał przeczytać po raz drugi.

„Przyjeżdżaj koniecznie i jak najprędzej

Maryla“.

— Co tam się stać znowu mogło. Maryla zawsze taka ogłędna. Czy aby nie matka zachorowała... Ale nie, na pewno nie — to Maryli musiało się pogorszyć. Leżała wtedy w łóżku, a ten Leon przecież zupełnie jest do niczego.

Stanął do raportu o urlop. Ponieważ i tak nie-

długo miał być zwolniony, uzyskał go bez trudności. Przytem zżył się tak już z oficerami w tej wielkiej puszczy, że nie chcieli mu odmawiać.

Długo jechał jeszcze podwodami, przesiadając się z jednej na drugą, aż wkońcu ujrzał czarną smugę dymu, wznoszącą się nad horyzontem.

Kolej żelazna zabrała go z sobą i niosła do odległej stolicy.

Rozdział VI

Już piąty raz usiłował zsumować te wszystkie porycje i nie był w stanie. W mózgu czuł jakiś ogromny ciężar, a szamotanie się z samym sobą zmogło go wkońcu, aż gryząc palce z bólu, począł myśleć o tem, o czem wiedział, że myśleć mu nie wolno.

Czasami zdawało mu się, że jeśli podda się tym rozważaniom, to poprostu zwarjuje. Napatrzył się przecież na tyle strasznych rzeczy tam, w wojsku, iż słusznie mógł sądzić, że niema na świecie już takich rzeczy, któreby go mogły przestraszyć, zaskoczyć. Tyle już rzeczy wytrzymał; przeniósł lęk tylu bitew, potyczek, przeniósł grozę tej strasznej pomyłki wtedy, gdy żadnej już, żadnej nie miał nadziei, tam wtedy pod murem więziennym. A jednak?...

Pani Osowska — matka Stanisława, umarła. Fakt na pozór prosty i naturalny, o którym wie się przecież zgóry, że musi wkońcu nastąpić, ale o którym się nie myśli i w który się nie wierzy. Umarła... Wyraz tak prosty, a tak straszny w swej prostocie, nieubłaganie beznadziejny.

Gdyby był wiedział chociaż, że chorowała, gdy-

by mógł być z nią chociaż dłużej, wtedy, kiedy przytomna była jeszcze, kiedy wzywała go do siebie. Ból wielki ścisnął go za gardło, ból, że nie zdołał spełnić jej ostatniego życzenia, wynagrodzić tych długich nocnych godzin, kiedy czekała sama jedna na niego, a on tymczasem wahał się gdzieś po knajpach z kolegami i był ze wszystkimi, tylko nie z tą, która była mu najbliższą.

I żeby jeszcze nie w takich warunkach, żeby chociaż odrazu żadnej nie było nadziei, ale i tego mu los nie oszczędził. Można było w początkach jeszcze ratować; doktorzy zapewniali. Głupia, bezbolesna prawię operacja. I dlaczego, zła, kochana mamó! nie napisałaś wtedy!...

Gryzł palce, gdyż bał się, że głośnym płaczem wybuchnie na cały wydział. Jadała raz dziennie, głośno przymierała jego, jego matka! W tym czasie, gdy największego potrzebowała starania, nie miała na głupi obiad!

W kasie spóźniali się z wypłatą pensji, bo przecież ktoś tam miał myśleć o tych, co byli hen, na froncie! Można jednak było pójść poprosić!... Dlaczego zwlekała pani Osowska, nim odważyła się wkońcu zapukać do gabinetu pana Szacińskiego. Wyłożyła rzecz całą, wyłożyła jak prośbę to, co jej się słusznie należało, czego miała prawo żądać.

— Pani zechce zrozumieć — mówił przez nos, zapominając nawet podać jej krzesła. — To są sprawy bardzo skomplikowane. To trzeba wszystko obliczyć

w buchalterji, potrącić żołąd, który syn pani pobiera tam w wojsku; wystawić asygnatę, przesłać do kasy...

Przeprosiła go za natręctwo i wyszła. Gdyby mu tłumaczyła dłużej, naraziłaby mu może Stacha. Stach byłby może niezadowolony. Przytem prosić! Prosić obcych ludzi!...

Dnia jednak tego jadła już tylko suchy chleb z herbatą, a następnego sprzedała handlarzowi jedyną porządniejszą suknię. W nocy czuła się bardzo źle. Myślała nie o śmierci, bo co jej już tam od życia, ale o Stachu.

Takby pragnęła, takby już strasznie pragnęła, żeby przyjechał ten jej jedynak i szczęście to całe...

Gdy Maryla odwiedziła ją niespodziewanie w dwa dni potem, leżała już w łóżku i miała tak utrudniony oddech, że mówić mogła tylko z trudnością. Próbowała tylko słabo oponować, gdy jej przyniesiono potrawkę z kury, gdy potem przyszedł doktor. Skąd Maryla wzięła na to wszystko. Podejrzewałaby ją o wiele rzeczy panna Helena, Ziuta i Kacia, ale nie oi, którzy patrzeć umieją w przemęczone od nocnego ślęczenia nad rachunkami oczy. Ten Leon jednak był bardzo poczciwy chłopak. Siedział przy chorej całe wieczory. Tak długo i tak rozumnie potrafił rozmawiać, nie dając jej czasu na te smutne myśli.

Gdy w kilka dni później czuła się znacznie gorzej, gdy wzrok lekarza unikać począł jej oczu, zdołała się na wielki samolubny wysiłek i poprosiła Ma-

rylę, by tak ogłędnie, ale bardzo ogłędnie zawiadomiła Stacha.

Stach jednak zawiadomiony został już dawno, przyjechał nawet dnia następnego; tylko matka straciła już wtedy przytomność.

Czy wie to kto? Czy zna? Ten, kto nie przeżywał, co to jest siedzieć w nogach łóżka ukochanej osoby i śledzić na jej twarzy symptomy śmierci? — Jeśli przypadkiem świeca zgaśnie w pokoju, to dreszcz straszliwy szarpie świadomością: Czy to już!? Jeżeli oddech w nocy stanie się bardziej przytłumiony, to włosy się jeżą na głowie: Czy to już śmierć?! Ach! razi wtedy każdy skrzyp pod czyjąś nogą, najmniejszy turkot, co przez roletę wkradnie się z ulicy. Pusty śmiech dziecka obcego wydaje się wtedy zbrodnią, a ludzie? Ludzie wszyscy są wtedy wstrętnei, i nienawidzi się ich za to, że los nasz ich nie dotyczy, lub też w wybuchu nagłym wspiera się głowę na ich pierś i płacze, płacze jak dziecko, biedne ogromnie, a nieutulone.

Maryla i Leon przestali się wkrótce troskać o los pani Osowskiej, lecz zkolei zająć się musieli Stanisławem. Stanisław był jak błędny. Gdy zaciągał trzy miesięczną pożyczkę na ten pogrzeb, rozplakał się tam, w kasie raz pierwszy, lecz tak ogromnie, że dostał jakiegoś ataku, jakichś dziwnych dreszczy, o których doktor mówił do Leona, że mogą być oznaką poważnej choroby nerwowej. Zabronił jednak Stanisławowi przerywać pracę: „To trzeba zwalczać sa-

memu, trzeba się zagrzebać w robocie i nie pozwolić myśleć o tem wszystkim, choćby palce z bólu chciało się gryźć“.

Stanisław gryzł wprawdzie i teraz palce, lecz myśli nie zdołał odegnąć. Miał też dnia poprzedniego wizytę, która przypomniała mu wszystkie nadzieje i cały ogrom trąźniejszego nieszczęścia.

Stankiewicz przyjechał do Warszawy i nawet nie wiedząc o niczem, począł namawiać go, by jechał z nim na wieś. Gdy wkrótce spostrzegł i usłyszał o ciosie jaki dotknął Osowskiego, począł go tem gwałtowniej namawiać i perswadować mu. Nietylko zresztą on. To samo zalecał doktor, to samo radził Leon, Maryla nawet.

Stanisław jednak opierał się z całych sił. Wyszukiwał moc przeszkód, moc argumentów, byle tylko nie jechać tam, Bóg wie gdzie. Nie widzieć nowych ludzi i nowych nie imać się zajęć. Chciał być za wszelką cenę w tem mieszkaniu, odrabiać te same zajęcia, nasuwać sobie te same myśli, które miał, gdy Ona jeszcze żyła...

Stankiewicz po bezowocnych próbach wyjechał, wymógłszy tylko na Stanisławie przyrzeczenie, że przyjedzie stanowczo do niego, gdy minie ta chorobliwa apatja.

Apatja jednak nie mijała, a równocześnie Stanisław czuł, że zrobił kapitalne głupstwo, naprawiać którego nie miał siły.

Gorzka łza spłynęła mu po policzku i spadła na

papier. Zerwał się z miejsca i szybko wyszedł z wydziału. Na korytarzu jednak coś zawyło mu tak gwałtownie w piersiach, że znowu chustkę wtłoczył sobie w usta.

Za chwilę jakieś drżące ramię spoczęło na jego ramieniu, a przez grube łyzy ujrzał tak samo zalawione oczy Maryli:

— Stachu! opanuj się! Pomyśl o zdrowiu, o życiu, które czeka przecież na ciebie.

Odsunął to drżące ramię i, nie oglądając się, poszedł dalej. Nie widział nawet, jak panna Helena znaczącym uśmiechem odprowadziła Marylę i jak nagle stanęła wprost niego.

— Panie Stanisławie!

Zatrzymał się, i ten ból, który ścisnął mu krtań, usiłował wciągnąć w siebie.

— Pan płacze?

— Nie, cóż znowu? — Wargi zadrgały mu jednak. Nie było nikogo w całym korytarzu. Ujęła go za rękę, a w niego wraz z ciepłem tej dłoni wpłynął spokój, jedyne i największe narazie marzenie.

— Pan się zbytecznie poddaje. Trzeba być bardziej mężczyzną. Służył pan przecież w wojsku... Wie pan, miałam dotąd inne o panu mniemanie.

Jej ton swobodny i uśmiech zawstydził go. Opanował się i był spokojny. Ona znów uśmiechnęła się, lecz mniej już było w tym uśmiechu politowania, więcej zaś kokieterji. Nic dziwnego, dopięła przecież odrazu tego, czego ta Kamińska, choć lepiej mu zna-

joma, dopiąć nie umiała. To pogłaskało jej dumę. Była teraz gotową na serjo współczuć Stanisławowi, lecz wolała być kokieteryjną.

— To wstyd poprostu! Wstyd, panie Stanisławie, żeby tak zasklepić się w sobie i stronić od przyjaciół. Przecież pan wierzy w szczerłość moich słów? Ale z panem widać trzeba jak z dzieckiem...

— Nie, panno Helu! — próbował się bronić.

— Niech pan nie przeczy. Panu teraz trzeba rozkazywać. Biorę pana pod swoją komendę. Dzisiaj ma pan być koniecznie u nas i to całe popołudnie. No, dobrze?

Te półzartem wypowiedziane słowa rozczuliły go niepomiernie. „Jaka ona jest dobra, jaka zacna!“ Był znów bliski płaczu. Ujął jej rękę i silnie przycisnął do ust... Po chwili lekko wycofała mu dłoń. Szaciński zbliżał się z przeciwnej strony. Spłoniona, szybko odeszła. Stanisław zaś został sam na korytarzu. Nie widząc Szacińskiego, nie widząc nic dokoła, patrzył uparcie, jak szła tym korytarzem, i pieścił się każdym jej ruchem, każdym najmniejszym drgnięciem ramion czy szyi.

Gdy otwierała drzwi do wydziału, wyczuł bardziej, niż dojrzał, wesoly półuśmiech, jaki przesłała ku niemu. Znów poczuł jakiś ciepły powiew jak przed chwilą, gdy trzymał jej rękę. Pomyślał:

Ja ją Kocham?... Tak, Kocham!

Siedzieli w Milanówku, gdzieś w brzeziniowym

lasku, na trawce, zarzuconej rozmaitemi papierkami od czekolady, pierników i innych rzeczy, których wszelako na tem miejscu wymieniać mi się nie godzi, a to ze względu na to, iż szanując pewne słuszne czy niesłuszne konwenanse, bynajmniej nie dążę do tanich efektów.

Swoją drogą był jednak maj, a maj jest to bardzo piękny miesiąc, i chociaż kilkanaście milionów razy został już opisany przez wszystkich poetów i powieściopisarzy, nie stracił nic dla świata ze swego „uroku“, co jest najlepszym dowodem jego niezaprzeczonej wartości.

Nie mówili nic do siebie, bo wogóle niema sensu wyrywać się z jakimś głupstwem, kiedy ptaki i drzewa prowadzą tam, w górce, że nie powiem „rozhowcry“, ale bardzo mądre rozmowy.

Zamiast mówić głupstwa w maju, stanowczo lepiej je robić wtedy. Dlatego też ludzie poważni mają w konsekwencjach uzasadniony żal do tego miesiąca, wychodząc widać ze słusznego założenia, że jedyna różnica między mądrym a idiotą jest tylko ta, że idjota głupstwa gada, a mądry je robi.

Jeżeli jednak moje zdanie może cokolwiek zażyć w tej materji, to obserwacja moja zadaje poniekąd kłam powyższemu twierdzeniu, gdyż sam widziałem, a nawet znałem ludzi mądrych, którzy opowiadali takie głupstwa, że uszy poprostu puchły. Reasumując powyższe, dochodzimy łatwo do wniosku, że pomiędzy mądrym a idiotą niema w zasadzie żad-

nej jaskrawej różnicy, co radziłbym bardzo wziąć pod uwagę rozmaitym uczonym, a zwłaszcza reformatorem.

Wracając jednak do rzeczy, postanowiliśmy już, że był maj, a „w maju wszystkie koty szare“ i ludzie jednakowi. Nie skompromituję też panny Heleny, jeżeli wyznam, że na tej wycieczce pozwoliła niejednokrotnie pocałować się Stanisławowi. z języczkiem i bez, nie dając jednak dotknąć się za piersi ani uchwycić za nogę.

Komu takie postępowanie panny Rudzińskiej się nie podoba, to może wogóle nie czytać mojej książki, bo łaski mi żadnej nie robi i niema co sobie wymawiać!

To po pierwsze. Po drugie nie pozwolę sobie na żadne „śmiszki“ z panny Helenki, dlatego tylko, że jest „panną z dwudziestego wieku“, a po trzecie: mam najwyższy wyraz pogardy dla każdego, kto ośmiela się szkalować dobrą sławę narzeczonej bohatera mej książki.

Tak! Proszę się nie dziwić, nie protestować, gdyż Stanisław właśnie przed chwilą oświadczył się panie Helenie; został przyjęty i choćby nawet sam chciał się teraz wycofać, to klamka już zapadła, i dlatego smutny, podniósł głowę do góry.

Wgórze, nad wierzchołkami drzew, płynęły przeczyste, pierzaste małe obłoczki, i wpatrzonemu Stanisławowi zdało się, że leży sobie jak rok temu w litewskich tam Wydrwawiskach, swobodny, beztroski.

— O czym myślisz?

— O niczem. — Skłamał jej, bo czyż mógł powiedzieć tak zaraz po oświadczeniach, że lepiej mu było, grubo lepiej, gdy był sam w tych lasach, że zażęknął teraz za niemi, za swobodą, za losem, nawet takim, jakiego zgotował sobie Małecki.

Edward nie zwolnił się z wojska; wstąpił do „podchorążówki“: został po demobilizacji i teraz był już podporucznikiem. Stał sobie z pułkiem gdzieś na wsi; jeździł konno. On tylko...

Zadumał się jeszcze bardziej i wpatrzył tępo w mrówkę, która kręcąc mu się po łucie, szukała sobie drogi, by zejść na leśny trawnik.

Mój Boże! Nawet taka mrówka coś kombinuje, idzie o własnych siłach, tylko on, jak ta fala, gdzie ją wiatr zamiecie...

A był czas, iż myślał, że będzie przecież inaczej. Nietylko, że miał nadzieję, ale czuł się nawet na siłach.

Potem?... Wszystko przyszło... Helena! — Oświadczył się jej i nie żałuje, ale żeby miał się znów cieszyć. Z czego? — Że pewnie do końca życia mieszkać będzie w Warszawie albo w innym jakimś mieście. W tych rozpalonych lub zimnych murach, których tak nie znosił. — Miał względem Heleny pewne obowiązki. No tak, nie zaprzecza temu. Chodził przecież przez ten cały rok do nich prawie codziennie, potrzebował jej towarzystwa, gdyż przy niej zapominał o swej ciężkiej stracie; przychodził poprostu do zdrowia, zresztą kochał ją przecież!

Traktowano go tam już dawno jako konkurenta. Kochając Helenę nie cieszył się jednak z tego. Nie dlatego, iżby uważał, że ona nie jest materiałem na żonę, przeciwnie, była dumna, nieprzystępna. Ale przecież to małżeństwo, to było wyrzeczenie się najrozkoszniejszych nadziei.

Czy będę z nią szczęśliwy? — Wierzył, że go kocha, lecz czuł doskonale, że nie imponuje znów jej zbyt. Potrafiła być bardzo dobrą, uległą, ale czasami tyranizowała go poprostu dnie całe, nawet tygodnie. Nie dawała wówczas się dotknąć, patrzyła nań z wyraźnym lekceważeniem, kilka razy dała mu nawet do zrozumienia, by nie przychodził przez czas dłuższy.

— Nie zamyślam się tak ciągle. Ładnie mnie zabawiasz. — Zrobiła nadąsaną minę.

W jakiś czas później wracali do reszty towarzystwa, gdyż byli już za długo sam na sam z sobą, „i mógł ktoś sobie coś pomyśleć“; przytem pociąg do Warszawy odchodził już za niecałą godzinę.

Idąc piaszczystą drogą po beznadziejnie równej i zakurzonej łączce, myślał Stanisław: — Miło jednak będzie teraz przed wyjazdem napić się kwaśnego mleka. — Przyśpieszył kroku. Musiał jednak zwolnić po chwili, gdyż Helena nie mogła nadążyć za nim po tym piachu. Do pantofli dostał jej się żwir, pałac stopy, a nogi w kolei wykrzywiały się jej raz po raz tak, iż z żalem musiała skonstatować, że po przyjeździe do Warszawy lakierki jej będą już na nic, że stra-

cą fason i wykrzywią sobie obcasy. To ją rozdrażniło. Bądź co bądź na te lakierki zapożyczyła się już awansem, a teraz będzie musiała „obrócić je na codzień“, gdyż nietylko taki Janusz, który był bardzo spostrzegawczy, ale nawet Szaciński zwróciłby na to uwagę.

O Januszu pomyślała jednak tak już tylko z przyzwyczajenia i mimochodem. Nie widziała go już dość dawno. — Wyjechał za jakimiś sprawami, biorąc się z kolei do handlu.

Póki był przy niej, wywierał jak dawniej niezaprzeczony wpływ, teraz jednak wobec mającego nastąpić ślubu za dużo miała rzeczy na głowie. Przedewszystkiem musiała szykować wyprawę, po drugie postanowiła koniecznie uczyć się muzyki i francuskiego, gdyż stanowczo zamierzała zaraz po ślubie rzucić posadę.

— Jednakże nieźła to jest rzecz małżeństwo, zawsze więcej swobody, niepotrzeba już udawać naiwnej gęsi, a przytem mężatce o wiele łatwiej jest wejść w życie.

Nagle zatrzymali się. Z ocienionego głogiem rowu kolejowego doleciał ich czyjś znajomy urywany śmiech...

— To Kacia! — Helena na palcach, a za nią Stanisław przysunęli się do parowu.

Jakiś czas słyszeli tylko lekkie szmery. Po chwili jednak głos męski, w którym Stanisław najwyraźniej poznał Serejskiego, ozwał się z kolei:

— Wiesz jednak, Katka! jak zaczęłaś u nas pracować, to miałaś ładniejsze piersi.

— No to trzymaj ręce przy sobie... Nieprawda, i teraz mam jeszcze bardzo ładne. Paskudny jesteś!

Stanisław począł usilnie dawać Helenie znaki, by się cofnęła. Dziwił się nawet, jak ona może słuchać takich rzeczy.

— No i czego mię tak wołałeś? Mogliśmy byli jeszcze posłuchać.

— Ależ Heła, ty chyba nie rozumiesz...

— E, daj mi: spokój. Właśnie dlatego, że rozumiem.

Porządna panna może wszystkiego słuchać. To nawet bardzo jest „psychologiczne“ wiedzieć, że taka Kacia tak z Serejskim w rowie... Teraz się nie dziwię, skąd ona ma zawsze pieniądze... Ale się umie też maskować. — Z tonu Heleny znać było, że jej to jednak imponuje. — Swoją drogą Serejski ma nieszczerólny gust...

Do samej mleczarni nie mówili już ani słowa, myśleli jednak ciągle, a zwłaszcza Helena, o tem, co usłyszeli. — No, no, no...

Do Warszawy jechali zamkniętym przedziałem. Stanisław wybrał specjalnie taki, w którym nie było światła, a Helena jakoś nie zauważyła tego. Nie sądzono było im jednak, by jechali sam na sam. Ledwo co pojął ruszył, gdy zwałił się do nich Pilawski.

— A to państwo? Dobrze, że niema światła, będzie się można zdrzemnąć do Warszawy. — Usiadł

naprzeciwko, zarzucił nogę na nogę i głowę oparł na poduszce.

Stanisław myślał tymczasem, że taki Pilawski to zupełnie jak bydlę! Wybrał się na tę wycieczkę, wziął od żony pół bochenka chleba z wędliną, zawiązał gazetę, a potem przespał na trawie cały czas w Milanówku i to zaraz koło samej stacji. Tylko zjeść i wyspać się. Zupełnie jak bydlę!

— Pan nie brał z sobą palta? — Pilawski za-
gadnął Stanisława, gdyż myślał widocznie uciąć je-
szcze rozmówkę przed snem.

— Nie, nie brałem. Dzisiaj było tak ciepło.

— Ale wieczory, panie, chłodne. Nie zimno panu?

— Nie, nie zimno.

— Zawsze to zradno w tej porze.

— Mamy przecież już maj.

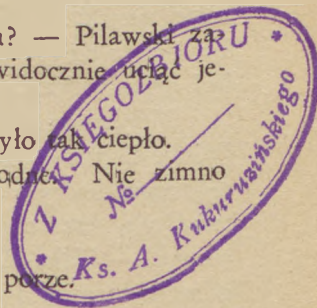
— Czasem i w maju bywają jeszcze przymrózki.

— Tak, bywają.

— To, panie, najniebezpieczniej. Pamiętam, akurat będzie dwadzieścia lat temu, nie, dwadzieścia dwa... dobrze mówię, dwadzieścia dwa. Było tak samo ciepło, a nad wieczorem...

Stanisławowi zbierało się na mdłości. Czuł, że jeśli Pilawski będzie dalej kontynuował swoją rozmowę, to zwymiotuje. Na szczęście rozmówca, ukołysany miarowym ruchem pociągu, przymknął oczy i zdrzemnął się po chwili.

Pociąg rozpędzał się coraz więcej, jakgdyby



chłodne wieczorne powietrze dodawało mu rzeźkości i jakgdyby poprzysiągł sobie stanąć u celu, zanim krwawa słoneczna tarcza zniknie gdzieś w ciemnych lasach. Przydrożne krzaki uciekały gdzieś wtył, jakgdyby spłoszone miarowym stukiem, co płoszył ciszę wieczoru.

Wyglądali przez okno, nie mówiąc do siebie jeszcze nic, choć czuli, że Pilawski śpi już na dobre i że ich nie usłyszy. Ten chłodny wieczór pobudził jakoś zmysły Stanisława, a Helena myślała:

Mógłby ten Stanisław nie siedzieć wciąż tak spokojnie. I ona czuła się pobudzoną mrokiem wiosennej nocy, który rozpełzał się po horyzoncie. Przytem była jeszcze pod wrażeniem podsłuchanej rozmowy. — Taka Katka... Pewnie, że jest głupia, ale pomimo wszystko ona nie marnuje czasu, umie używać życia. Niezaspokojone jeszcze w pełni żądze poczęły kipieć w niej teraz, wołając jednym, długo tłumionem na dnie duszy pragnieniem:

— Ach! puścić się nareszcie! Puścić tak zupełnie! Zakosztować tych wrażeń, w pełni jeszcze nieznanych. Czuć na swem nagim ciele ciężar ciała mężczyzny, by raz nareszcie sponiewieraną żądzą jego, triumfować nad sobą samą, nad swoim wyrachowaniem, wyuzdaną biernością grzechu. I zabić w sobie tę resztkę wstydu, lęku właściwie, głupiego lęku.

Spojrzała na Stanisława: Był dość szeroki w ramionach, ale czyż on potrafiłby się zdobyć na coś podobnego? A w niej bunt, tłumiony rozważą do dwu-

dziestego dziewiątego roku życia, wołał już na całe gardło:

Puścić się! Puścić koniecznie! Wszystko jedno już z kim, byle tylko jak najprędzej, byle zaraz, choćby i teraz w wagonie!

...Stanisław jednak nie miał za grosz intuicji lub okazał tę tak nie na miejscu rozważę, która gubi nieraz całe przyszłe szczęście mężczyzny. Stracił chwilę! Stracił moment, w którym mógł stać się dla Heleny choćby odbiciem takich autorytetów, jak Janusz albo Szaciński. Winien był stanowczo!

Winien był tego, że nie wziął tam zaraz, przy tym chrapiącym Pilawskim, swej narzeczonej, że nie zgwałcił jej za jej wolą, pomimo jej woli, że okazał się zbyt wstrzemięźliwym w chwili, gdy kobieta w pocałunku do krwi gryzie ci usta i, zarzucając nogi na kolana, leci gdzieś przez ręce...

Kochany Stanisławie! Jesteś gruboskórny i mało interesujący.

...Jeszcze się też coś podobnego w naszym wydziale nie zdarzyło!

— Ale my sami powinniśmy to wyświecić. Teraz poprostu wstyd będzie pokazać się na korytarzu.

— Proszę państwa. Ja już sił nie mam poprostu myśleć o tem, żeby w moim wydziale. Prędzejbym dał sobie głowę uciąć. I kto? Pytam się kto?!!

Mógł się jednak pan Galicki pytać tak do samej śmierci z bardzo wątpliwym rezultatem. Jeśli ktoś

kradnie z wydziału nowiusieńką maszynę do pisania, ten chyba nie może mieć najmniejszego w tem interesu, by się przyznawać, że to on, a nie kto inny.

Swoją drogą nie dziwmy się panu szefowi. Przez tę maszynę naraził się na tyle nieprzyjemności, że po nocach nie sypia, budząc się co chwila i rozpamiętywując wszystkie nieszczęścia, jakie już spadły na niego i spaść jeszcze mogły.

Przedewszystkiem dostał nosa od samego wiceministra, potem obrugał go pan szef departamentu, później ten smarkacz Szaciński, ale nie na tem koniec. Pominawszy już wszystkich tych, którzy z prawa swoich godności mogli wymyślać panu Galickiemu, nie miał prawie dnia, żeby czy to gdzieś w korytarzu, czy w poczekalni, czy wreszcie w kantynie nie usłyszał, jak któryś z zawistnych kolegów wyrażał się do drugiego, że to się musiało tak skończyć ostatecznie, gdyż Galicki jest poprostu „d.“ i to duże „D“, co prawdopodobnie miało oznaczać karczemne słowo dureń.

— I żeby choć mógł wykryć tego złodzieja. — W poufnych rozmowach z Szacińskim rzucał moc podejrzeń, to na stróża, to na woźnego, to wkońcu na wszystkich urzędników, których stan majątkowy mógł skłonić do tak zdroźnego kroku.

Nie dowiedział się jednak nic. Maszyna jak w wodę wpadła.

Wodził więc teraz pan Galicki wzrokiem po twarzach wszystkich swoich podwładnych i starał się

za wszelką cenę wykryć w nich tajemnicę, której oni sami szukali w sobie wzajemnie, o, zgrozo! nie wyłaczając nawet pana szefa.

Stosunki zaczęły psuć się w wydziale. Urzędnicy, chcąc zrzucić każdy z siebie podejrzenie, proponowali coraz nowe rewizje lub też gwarzyli, skupieni grupkami, unikając przezornie jakiejś pary oczu i mówiąc szeptem „Kto wie?“

Najmniej ze wszystkich przejmował się Stanisław. Co go to mogło obchodzić. Za kilka dni miał się przenieść do innego wydziału, wprawdzie nie do tego, gdzie szefem był przyszyły jego teść, ale bądź co bądź do takiego, w którym pan Rudziński mógł bardzo wiele, to znaczy się, w którym Stanisław z wszelką pewnością uzyskać miał awans.

Helena nie pracowała już w biurze od tygodnia. Robiła przygotowania do ślubu, przesiadując z matką i Marjaną w przyszłym swym gniazdku, to jest w mieszkaniu Stanisława, i przesuważąc w niem wszystkie szafy, stoły, wstawiając trochę ze swoich mebli, a wyrzucając na strych bez pardonu te rzeczy, do których bądź co bądź przywiązała się nieboszczka pani Osowska, a nawet Stanisław.

Biedny pan Stanisław, gdy wracał zmęczony do domu, siadając na taborecie z nogami do góry, gdyż posadzki były świeżo zafrotowane, musiał jeszcze te panie całować po rękach i być im wdzięczny do zgonnie za to, że tak gorliwie od miesiąca zastępowały go w pracy. Nigdy tak krótko nie rozmawiał z

Helena, i nigdy mniej nie miała ona dla niego czasu jak właśnie w tej porze.

— Jak uważasz? Prawda, że lepiej, gdy komoda stanęła tutaj. Przedtem było wstrętne.

Milcząc, potakiwał głową i usiłował ująć ją za rękę.

— Słuchaj! daj mi spokój. Ty nawet nie myślisz o tem, ile ja mam jeszcze pracy. Te wasze firanki oddałam Marjannie. Mama obiecała, że da nam część swoich. Musisz koniecznie jeszcze dziś podziękować mamie.

Dziękował więc ciągle, to mamie, to Helenie, to tatusiowi, to nawet Marjannie, a gdy mu się już to dziękowanie sprzykrzyło i chcąc mieć trochę więcej swobodnego czasu, zaproponował, że możeby to wszystko on sam zrobił. Mama spojrzała się nań z politowaniem, a Helena rozdrażniła się do tego stopnia, że odtąd bez pytania bał się tknąć swych własnych rzeczy.

— Proszę cię, nie bierz tej popielniczki. — Właśnie Marjanna miała ją wziąć do umycia...

...Ale gdzież ty popiół strząsasz?

— Nigdzie, kochanie! Za okno.

— To nie otrzásaj, proszę cię, za okno, bo możesz przez omyłkę zawalać parapet — dopiero do umyty. Ty nawet nie wiesz jaka to ciężka praca.

Odtąd więc Stanisław, chcąc wypalić papierosa, musiał chodzić na spacer i z żalem konstatawał, że nieobecność jego bynajmniej nie przeszkadzała tym paniom. Nawet Hela całe te przestawiania, porządku

traktowała w ten sposób, jakgdyby to nie on miał zamieszkiwać to mieszkanie, lecz jakgdyby ona szykowała się na przyjęcie jakichś gości. Jego zdanie nie znaczyło tam nic.

Zamiast zrobić z punktu grubszą awanturę znośli tym paniom: to gwoździe, to doniczki, to znów obcegi lub młotek pożyczal dla nich od stróża, a kiedy miał chwilę czasu, chodził z wizytą do narzeczonej, do jest do mieszkania Rudzińskich, gdzie mógł posiedzieć samotnie i w spokoju, gdyż nawet przyszły teść nie przeszkadzał mu swoją obecnością.

Pan Rudziński, korzystając z ogólnego zamieszania mógł sobie bez obawy przesiadywać w cukierni, ciesząc się z tego, że bądź co bądź „baba z wozu, koniom lżej“ i że nie on się żeni, ale jakiś inny idjota.

Raz, gdy Stanisław siedział w salonie, przerzucając jakieś fotografie, usłyszał dzwonek.

Zamknął szybko album, położył na swoim miejscu i poszedł otworzyć drzwi.

Przed nim stał młody, zgrabny i elegancki mężczyzna:

— Przepraszam! czy zastałem pannę „Hellenę?“

— Nie. Jest właśnie u mnie, to jest chciałem powiedzieć u siebie w domu.

Młody człowiek „zrobił wielkie oczy“. Zdziwił się do tego stopnia, że aż zrobił krok w tył i, zadartszy wypomadowaną głowę, spojrzał na numer mieszkania.

— Przepraszam! Ale to wszak jest mieszkanie państwa Rudzińskich?

— Tak, Rudzińskich.

Gość aie przestawał się dziwić. Nie przedstawiając się nawet Stanisławowi wszedł do korytarza.

— Pan pozwoli, że wstąpię na chwilę do salonu. Jestem bardzo dobrym znajomym „Helli“ i idę prosto z kolei. Wszedł do salonu i, podciągając spodnie, usiadł w fotelu

Stanisław uznał to za natręctwo. Przytem to „Helli“ ukluło go bardzo boleśnie. Nie słyszał, by jego narzeczona miała jakiegoś „bardzo dobrego znajomego“. Już chciał zapytać o godność, lecz nieznamy przybysz wyprzedził go:

— Przepraszam pana, że poproszę o pewne wyjaśnienie. Pan szanowny powiedział zdaje się, że „Hella“ jest u siebie. Czy wolno wiedzieć, jak należy to rozumieć?

To ciągle poufale traktowanie Heleny znowu ukluło Stanisława. Był rozdrażniony:

— No tak, jak powiedziałem „u siebie“, to jest w swoim przysłem mieszkaniu. Panna Rudzińska wychodzi zamąż. Jestem jej narzeczoym.

Gość bardzo zręcznie zerwał się z fotela:

— Pan mi wybaczy, ale nie wiedziałem z kim mówię.

— Jestem Janusz Grabowski — uśmiechnął się bardzo grzecznie, choć trochę ironicznie. Na chwilę zamyślił się nawet. Nie zdawał się jednak być zmartwionym, co poniekąd uspokoiło Osowskiego.

— Więc pan jest narzeczoym Helli... Teraz nawet przypominam sobie, że Hela wspominała mi o ewentualności swego wyjścia zamąż.

Znow uśmiechnął się zlekka i sięgnął po kapelusz. Był denerwująco arbitralny.

— No, ja już będę musiał uciekać. Bardzo mi było miło poznać pana. Pan będzie może tak łaskaw i przy widzeniu się z narzeczoą złoży jej moje ukłony oraz najserdeczniejsze powinszowania — od Janusza Grabowskiego. — Uśmiechnął się znowu. — Pan będzie łaskaw nie zapomnieć, Janusza Grabowskiego...

Gdy tylko Stanisław zobaczył z balkonu, że jego gość poszedł w przeciwną stronę, chwycił kapelusz i zbiegł ze schodów, przeskakując po dwa stopnie...

— Słuchaj, Hela! Muszę koniecznie z tobą porozmawiać.

— To może trochę później. Jestem teraz zajęta. Krawcowa przyniosła moją bieliznę.

— Nie, nie później, to jest bardzo ważna sprawa. Kto to jest Janusz Grabowski?

Panna Rudzińska, nie wiadomo dlaczego, przybladła zlekka.

— Jakto, kto to jest?

— No tak, pytam się chyba wyraźnie: Kto, to, jest, Janusz Grabowski?

— Ale proszę ciebie, jakim ty tonem mówisz. Dlaczego się o to pytasz?

— Dlatego, że chyba mam do tego prawo. Może nareszcie odpowiesz mi?

— Wcześniej zaczynasz indagację. To jest nasz znajomy. Znam go od dziecka. Jeśli chcesz wiedzieć coś więcej, to proszę cię, pytaj mamy.

Wstała i mimo zdetonowania się Stanisława poszła ku drzwiom, nie wyszła jednak z pokoju, lecz zatrzymała się we framudze, z uwagą poprawiając portjery.

— Może raczysz mi wytłumaczyć wreszcie, skąd przyszedłeś do tego pytania?

Stanisław pokrótce zdał sprawozdanie z niespodziewanej wizyty.

— I kazał mi się kłaniać?

— Tak.

— I życzyć szczęścia?

— Tak. Mówiłem przecież już raz.

Helena zagryzła usta. Jakiś czas tępo patrzyła gdzieś przed siebie:

— Czego ty właściwie przesiadujesz u nas w mieszkaniu?

— A gdzież mam siedzieć? Do Maryli nie chcesz, żebym chodził?

— No, zdaje się, że przy urządzaniu swego mieszkania mógłbyś być?

— Sądzę, że ci na tem nie zależy.

— Wiesz, że nie posądzałam cię o takie myśli. Jesteś niedobry. Dlatego, że ja teraz nie mam czasu, że myślę o tem, by nam było jak najlepiej... Wstydzilibyś się! — Siadła na poręczy krzesła i ujęła go pod brodę:

— No, rozchmurzyć się. Śmieszny zazdrośnik o jakiegoś głupiego Grabowskiego. Niedobry!

— Dobry. Tylko mogłaś mi przecież wcześniej o tym Grabowskim powiedzieć...

— No, cicho już, cicho... Mój ty zazdrośniku... Mój... A gdybyś był grzeczny, tobym ci coś pokazała. Teraz za karę obejdiesz się smakiem.

Wstała z poręczy, udając nadąsaną. — Objął ją całą pożądlivym wzrokiem:

— No cobyś pokazała? To ty jesteś zła. Tak rzadko jesteśmy teraz sami.

Zatkała mu dłonią usta:

— Tylko nie narzekać... Cicho. Żeby Marjanna albo mama nie weszła. Posiedź tu grzecznie, a ja pojedę za szafę. Ale musisz dać słowo?

— Na co?

— To później. Najpierw daj słowo!

— Słowo!

— Honoru?

— Honoru!

— No dobrze, ale pamiętaj, żebyś nie zaglądał, aż sama pozwolę.

Weszła za szafę... Po chwili Stanisławowi krew poczęła pulsować w skroniach. — Usłyszał szelest zdejmowanej sukni.

— Nie podglądasz?

— Nie!

— To dobrze.

Jakiś czas było najwyraźniej słyhać ciszę...

— No, możesz już przyjść!

Czując, że nogi drżą mu zlekka w kolanach, wstał z krzesła i poszedł za szafę...

...Cudna!

— Co, podobam ci się? To jest moja wyprawa. Widzisz, to wszystko dla ciebie!... Tylko nie porwij!

U kolan jej był teraz Stanisław. Całował bez przerwy te bądź co bądź zgrabne nogi i tulił swe policzki do jej nagich ud.

— No, dosyć!

— Nie, nie dosyć... Ty moja! ty! ty jedyna!

— A nie będziesz zazdrosny?

— Nie!

— A nie będziesz podejrzliwym?

— Nie!

— No to masz — pochyliła się i przycisnęła jego twarz do nagich swych piersi. W głowie mu zaszumiało...

— No, ale teraz już. Pocałowałaś i już... Mama może zapukać — idź na swój fotel.

Drżącymi jednak trochę z emocji rękami wypchnęła go z za szafy.

W tej chwili uważał, iż z tem małżeństwem wygrywa główny los na loterji...

Drogi czytelniku, dzisiaj mamy Ślub!

— Hę?!...

No mówię przecież wyraźnie: Ślub! prawdziwy Ślub! Nie taki tam zwykły, to jest „aż do odwoła-

nia“, ale formalny, czarno na białem. — W kościele z dwiema karetami.

Są i tacy, którzy uważają, że ślub z dwiema karetami to wogóle nie jest ślub.

Proszę państwa. To jest austriackie gadanie. Po narodzinach i śmierci ślub jest najważniejszym wypadkiem w życiu człowieka, jakiby nie był, z jedną czy z miljonem karet.

Zapewne ślub jest ważny, ale dla kobiety! To też jest austriackie gadanie. Kobieta, ostatecznie, jeżeli jest przyzwoita, to się bez ślubu tak łatwo obejść nie może. Zechcą mi panie nie przeczyć, gdyż słów moich nie cofnę.

Jakto? szanowna czytelniczko! Reflektowałabyś tak bez ślubu?...

— No, jeżeli tak, to ja to zaraz rozgadam.

— Acha... Więc jednakże tego żadna z pańby nie pragnęła — znaczy się wstyd!

Proszę ja kogo, co za wstyd może mieć mężczyzna, jeśli się nie ożeni? Czy może wytykać go będę palcami? lub чуć miłosna go późre?...

Nie!... To i panie widzą, że nie. Więc pogodzeni idźmy w tym ślubnym orszaku, żałując stokroć bardziej Stanisława niż panny Rudzińskiej. Kiedy stanimy w kościele, gdy ksiądz już wzniesie, błogosławiając, ręce, to pomyślicie na pewno piękne panie:

— Jednakże jaka szkoda, że to jeszcze nie mój ślub!

Drodzy mężczyźni! zdaje się czytać w sercach waszych. Myślicie teraz:

— Jednakże jakie to szczęście, że to jeszcze nie mój ślub!

Tak się przedstawia miłość w przyrodzie! Co do małżeństwa pana Stanisława Osowskiego z panną Heleną Rudzińską zaznaczyć jeszcze winienem, że aczkolwiek razem odchodzili z kościoła, myśli wszelako mieli wprost sprzeczne.

On myślał:

— No, to się już wszystko skończyło!

Ona natomiast:

— No, teraz dopiero się zaczniesz!

Rzeczywiście, muszę przyznać, że Stanisław spędził się w sposób bardzo wyraźny. Nie pomogła ani przejażdżka karetą po alejach, ani też lody, które zjadł na weselu, wogóle nic, aż do czasu, w którym zobaczył, że Szaciński zbyt obcesowo traktował jego żonę, niestety, nie bez pewnych powodów...

Tajemnice nocy poślubnej pokryjmy milczeniem. Zresztą, czyż pani Helena zechciałaby mi uchylić choć rąbka tej tajemnicy, mnie, mężczyźnie. — Nie!

Nie wiem więc nic, jakie wrażenie zrobił na niej Stanisław i jakich doznawała w tę noc rozkoszy.

Co zaś do niego?...

Biedny! biedny Stanisławie! Ta pierwsza noc poślubna miała dla ciebie czar uświęconych zmysłów, ta pierwsza noc poślubna była dla ciebie triumfem

długo tłumionych pożądań; lecz czemuż lituję się, szczęśliwco, nad tobą i czemu nazywam cię biednym?

Tak! Ja to jeden przeczułem tylko, że ty łyzy miałeś w oczach.

Gdy było ciemno w pokoju, gdy nawet ona omdlewała już w uścisku, ty, z bólu szarpiąc koronki poduszki, przeżywałeś rozkosz! rozkosz ogromną!

Miłość twoja zmieszała się z zazdrością i nie wiedziałeś, czy śmiać się masz, czy płakać, czy łeb roztrzaskać o poręcz łóżka.

Przed twemi oczami stał wyfraczony manekin o twarzy Janusza czy Szacińskiego, a tyś nie mówił nic i nie błagałeś jej o wierność!

I to jest największa twoja tragedia i największa twoja wartość jednocześnie, bo zdobyłeś się jednak, biedny, mały człowieczku, by ostatecznie nie skalać swej Dumy Męskiej...

Rozdział VII

Poczęto jednak w Ministerstwie coraz głośniej jakoś mówić o prawdziwej redukcji urzędników, o komisji specjalnej, która w tym celu miała się wyłonić. Szefowie podobno w wielkiej tajemnicy naradzali się już nad tem i układali listy.

Nikt niby na pozór nie przejmował się tem, gdyż każdy przecież prawdziwie inteligentny człowiek nie tu, to gdzie indziej, a zawsze znajdzie posadę; lecz coraz to ktoś meldował się do szefa, coraz to jakaś panna wkładała mocno dekolowaną bluzkę, gdy szła z papierami do pana naczelnika.

Jeden Stanisław był zupełnie spokojny o siebie. Ruszyć jego, to znaczyło się ruszyć pana szefa Rudzińskiego, który stanowczo na toby się nie zgodził, bo bynajmniej nie zamierzał, wydawszy zamąż córkę, utrzymywać nietylko ją, ale i jej męża.

Tak więc, gdy wszyscy drżeli poćichu w wydziałach, pan Stanisław najspokojniej w świecie oczekiwał awansu, przyobiecanego przez teścia.

Stosunki w nowym wydziale, żeby nie wymówić w złą godzinę, miał wymarzone. Mógł nic nie robić całemi godzinami, mógł wcześniej wyjść z biura, spóź-

nić się znacznie. Wpływy pana Rudzińskiego rzeczywiście okazały się duże, i jeśli Osowski mógł na co narzekać, to tylko na pewne jowialne dowcipki, z którymi spotykał się na każdym kroku. Czerwienił się też biedak dość często.

— Panie Sadowicz, pan się coś za często spóźnia — mawiał nowy szef. — Co uchodzi panu Osowskiemu, to nie innym. Pan Osowski ma młodą żonę.

I jak tu się można było obrażać, jeżeli mówił to szef, i to bez najmniejszego cienia złośliwości.

Ale i zwykli koledzy pozwalali sobie na cały szereg figlarnych uwag. Tego Leśmińskiego postanowił nawet Stanisław „zrugać“ przy sposobności.

Leśmiński flirtował zawsze zawzięcie z panną Olą i przekomarzał się z nią całemi godzinami.

— Panno Olu, widzi pani, jak pan Osowski jakś dziwnie mruga oczami.

— No więc co z tego?

— A to, że pewnie się nie wyspał. O! widzi pani, nawet ręce mu się trzęsą.

Panna Ola spuszczała w takich wypadkach swoje długie rzęsy i udawała, że coś bardzo pilnie rachuje. Gdy jednak uporczywy wzrok Leśmińskiego przywodził na jej policzki szkarłatne rumieńce, wykrzykiwała wówczas głośno:

— Pan jest poprostu nieznośny!

— Kto, ja? Uchowaj Boże!... Tak, to tak. panno Olu. Nieprawda, panie Osowski?

Stanisław bądź krzywił się wtedy, bądź piorunował Leśmińskiego spojrzeniem. Nie odnosiło to jed-

nak prawie żadnego skutku. „Żartować przecież zawsze można?”

Pomimo jednak tych żartów, Stanisław po ślubie urósł nietylko w oczach własnych, ale i kolegów. Wiedzano teraz, że taki Osowski ma „fory“, że prawdopodobnie pojedzie do góry. Ci wszyscy, którzy dawniej na ulicy udawali, że go nie widzą, kłaniali mu się teraz pierwsi, co niemało głaskało jego ambicję. — Przytem, co tu gadać zawsze przyjemnie jest wyjść sobie w niedzielę na spacer z młodą żoną. Mówić gdzieś w towarzystwie: „mówiła mi żona” lub: „prosiłem o to żony“. Nawet na pierwszego, gdy w kasie wypłacano mu ten śmieszny dodatek, mile lechtały go słowa kasjera:

— Pan bierze też na żonę?

— Wogóle dopiero człowiek żonaty jest na serio człowiekiem. — Stanisław wypowiedział kilkakroć to ryzykowne zdanie, gdyż wzmógł w sobie, że zrzeczenie się wielu nadziei jest właśnie zrównoważeniem, a zrównoważenie cechuje dorosłego człowieka.

Bardzo praktycznie jest wmawiać w siebie takie rzeczy, i nie mam zupełnie za złe tego Stanisławowi, zarówno zresztą jak i pewnego zaślepienia w stosunku do pani Osowskiej. Pani Hela nie mogła zupełnie, ale to zupełnie, narzekać na Stanisława i pozwalała mu się kochać, na ile tylko stać go było miłości.

Ich skromny budżet, składający się z pensji męża i nikłych zasiłków ojca, uregulowała dość sprytnie,

w czym jej wrodzony upór i pedanterja wydatnie dopomogły.

Na każdego pierwszego, gdy tylko Stanisław przynosił jej całą swą pensję, odkładała zaraz pewną część sumy, która była nienaruszoną. Suma ta stanowiła należność za lekcję muzyki i francuskiego, które pobierała pani Helena. Mąż mógł być dumnym z żony, że nigdy nie naruszyła dla innych celów tej pozycji i nawet, gdy musiała kupić sobie lakierki, wzięła pieniądze nie z tych, lecz z tych, przeznaczonych na życie. Bibliotekę co miesiąc opłacała jej „Droga Mama“.

Pani Helena czytywała teraz bardzo dużo. Cóż zresztą miała robić z czasem. Wprawki na fortepianie grała zwykle po południu, gdy Stanisław był w domu.

...Słuchaj, Hela! ty jesteś dzisiaj jakaś niewyraźna. Bardzo blado wyglądasz.

Pani Osowsko usiadła na fotelu:

— Bo ja ci już dawno chciałam to powiedzieć. Słuchaj, będę miała dziecko!

— To niemożliwe!

— Jakiś ty śmieszny! Jak ja ci mówię, to znaczy się możliwe, od trzech tygodni wiem o tem.

— Mówiłaś już mamie?

— Nie.

— A mężowi?

— Nie! Tobie pierwszemu to mówię.

Pan Janusz zadumał się jak poprzednio Helena. Nie podnosząc wzroku z dywanu, zahaczył po chwili:

— Ale to nie nasze dziecko?

W badawczych jej oczach zabłysnął na chwilę jakiś wyrzut i zgasł, przytłumiony.

— Skąd wiesz, że nie nasze, może właśnie nasze!

— Żyjemy przecież z sobą tak rzadko.

Złęknione, ciche słowa zamarły mu na ustach. Obawiał się, by nie wywołać jej rozdrażnienia.

— Ładnie rzadko. Cały zeszyły miesiąc — właśnie ten.

— No, ale zastanów się, Heluśka, że mąż przecież też z tobą...

— Wiem o tem! Nie twierdzą przecież stanowczo, że dziecko nie jest mojego męża. — W źrenicach zamigotał jej gniew. — Wolałabym, żeby było męża!

— Nie rozumiem cię, Heluś?

— E, co ty tam rozumiesz?

Spojrzał na nią zukosa, lecz widząc jej zdenerwowanie, wołał przemilczeć.

Rzeczywiście, dziecko zarówno dobrze mogło być Osowskiego jak i jego. W tym zeszyłym przecież miesiącu... Mimowoli poczuł jednak pewne zadowolenie. Z tą całą handlową robotą mu się nie udało, ale co do tego rodzaju rzeczy, musiał przyznać sobie, że miał specjalne zdolności. Dobrze jednak, że on tak z Heleną nie zaczął jeszcze przed ślubem. Z mężatką przynajmniej niema odpowiedzialności. Niema jak z mężatkami!

— Ale ciebie to, że ja zaszłam w ciążę, nawet pewnie nie obchodzi!

— Cóż znowu, Helluśka!...

— Daj mi spokój i siedź spokojnie. Tak nie chciałam mieć dziecka!

Wpiła palce we włosy, a Janusz, widząc, że niewiele brakuje, by wybuchnęła, próbował ją uspokajać. Nużyło go to wielce, ale postanowił się przewyciężyć jeszcze ostatni raz.

Miał już i jej, i jej wdzięków po dziurki w nosie. Znużyła go; zagrała przed nim całą komedję uczciwej żony. Musiał ją długo zdobywać, a i potem sama jeszcze jakby dla satysfakcji piętrzyła na tych randkach trudności. W najbardziej rozpaczliwej sytuacji zawsze krzyczała, że ktoś idzie, zawsze kazała mu gdzieś się chować, to znów ubierać na patatajkę. Stracił poprostu nerwy. Czuł, że ta Helena, nie bojąc się w zasadzie męża, doprowadzi tego, Janusza, do tego, że będzie obawiał się przejść na drugą stronę ulicy, żeby nie spotkać tego idjoty! Nie, stanowczo miał dosyć.

Albo poco kazała mu całemi kwadransami wystawać za drzwiami, kiedy bać się nie miała czego, bo w domu nikogo nie było. — Komedjantka!

— Słuchaj, Janusz! Ja się boję mieć to dziecko!

— No to można się postarać, żeby go nie było, ale to będzie kosztować.

— Nie! nigdy w życiu! Operacja! Za nic się nie zgodzę!

Właściwie Janusza zupełnie to nic nie obcho-

dziło, czy pani Osowska zgodzi się na operację, czy nie. Przyszedł tu w zupełnie innym celu, a wobec tego interesującego tematu nie wiedział, jak go wyłuszczyć. — Potrzebował pieniędzy i liczył jeszcze tylko na Helenę.

— Ach! jaka jestem nieszczęśliwa. Wy nigdy nie odczujecie, co kobieta musi przecierpieć!

Pan Janusz postanowił być subtelnym i „odczuć”. Taki obrót sprawy mógł go nawet posunąć do celu:

— Heluś, wstydz się, przecież to dla naszej miłości!

— Daj mi spokój z miłością!

— Więc już nie kochasz mnie zupełnie?

Przygarnął ją mimo uporu do siebie:

— Ty jesteś przecież całym szczęściem mojem.

— Nie wierzę!

— Chcesz dowodów? — Zrobił kozie oczy.

Ale ona dziś mniej niż kiedykolwiek indziej pragnęła dowodów. Musiał użyć całego zasobu swej wiedzy i umiejętności.

Ogromnie znużony dopiął wkońcu celu...

Gdy już po wszystkim Helena poprawiała włosy przed zwierciadłem, zapomniawszy na chwilę o swoim nieszczęściu, on przybliżył się do niej i, ujmując ją z tyłu za ramiona, zaryzykował:

— Hella, miałbym do ciebie wielką prośbę, tylko przyrzeknij, że sobie nic nie pomyślisz?

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Widzisz, kochanie, mam dług honorowy... ale

nie patrz się tak na mnie, niewielki — jutro płatny. Sądzę, iż wierzysz, żebym się nie zwracał do ciebie, gdyby nie ostateczność?

Sledził wyraz jej oczu... Zdawała się czegoś do rozumiewać. Patrzała na niego głęboko, tak głęboko i długo, aż uczył się zlekka speszony. Lecz ona odwróciła właśnie oczy. Teraz wiedziała już wszystko; wiedziała, dlaczego dziś przyszedł, dlaczego ją pocieszał, dlaczego był taki rozkochany i dlaczego tak pragnął wziąć ją koniecznie. Nie mówiąc ani słowa, podeszła do szuflady:

— Ile chcesz wziąć ode mnie?

Zapytała tak sucho, tak ostro, że gdyby nie potrzebował gwałtownie tych pieniędzy, potrafiłby ją zawstydzić.

...Po chwili z wielką ulgą schodził po schodach.

No i skończyło się! Dobrze, że bez awantury... Ona domyśliła się jednak... A zresztą, pal ją diabli!...

Stanisław, wracając do domu, był w siódmym niebie. — Dostał awans!

— A to się dopiero Hela ucieszy. — Postanowił stanowczo zaraz pierwszego kupić jej tego materiału na suknię, który oglądali niedawno i który tak się jej podobał.

Jesienne wrześnie słońce tarzało się w pyle ulicznym, Z za żółtych liści kasztanów błyszcząca toń szafirowa nieba, sfałdowanego białymi falami obłoków.

Stanowczo muszę dziś z Helą iść na spacer. Ona

biedactwo siedzi tylko wiecznie w domu — żadnej rozrywki. Pójdziemy do Łazienek, na świeże powietrze.

Gdy wszedł do mieszkania i otworzył drzwi do pokoju, radosne wyznanie zamarło mu na ustach — Helena płakała!

— Co ci jest?... No, powiedz, kochanie ty moje! Ty, żono moja jedyna!

...Gdy się dowiedział, nie umiał ukryć swej radości:

— Więc czego płaczesz, Helka? Przecież ja jestem szczęśliwy.... Nie bój się, kociaku. Jakoś tam będzie; starczy nam i na dziecko...

Scałował jej lzy, a gdy i to nie zdołało jej rozchmurzyć, usunął się do jej nóg, całował nogi. Wkońcu, niesiony ogromną falą szczęścia porwał na ręce; zaniósł na łóżko.

— Nie chcę. Rozumiesz, nie chcę!

— Ale dlaczego? Dziecko!

— No, bo nie chcę, rozumiesz! Zmęczona jestem.

...Suknię mi podrzesz! Rozumiesz, nie chcę!

Usłuchał. Lecz czując w sercu wdzięczność dla niej, wielką wdzięczność, za to mające przyjść na świat dziecko, posunął się do pieszczoty, jakiej nie dawał jej nigdy do tej pory.

Spazmatyczny śmiech rozsądzał jej piersi. Zerwała bluzkę, chcąc widzieć swą nagość. Usta jej uparcie szeptały niedosłyszalne słowa.

— No, teraz idź! Idź! idź stąd prędko!

— Daj, niech cię jeszcze pocałuję.

Wypadł z domu i biegł do kwaciarni.

— Kupię jej kwiatów, dużo kwiatów. Same czerwone róże za jej szal, za jej miłość. Nie, kupię czerwone i jedną białą, tę białą dla żony...

Gdy wybrał pęk róż w kwaciarni, wracając, nie liczył się nawet z tem, że zapłacił zbyt drogo. — Zostawił przecież Heli pieniądze na życie. Nie wiedział tylko, że znaczną część tych pieniędzy zabrał pan Janusz Grabowski i że spoglądał nań właśnie, jedząc wytworny obiad za wielką lustrzaną szybą pierwszorzędnej restauracji.

Gdy wbiegł do bramy, natknął się wprost na Maryłę, omal, że jej nie wyrwał!

— Dzieńdobry, Maryła! z domu idziesz?

— Nie! z biura.

— Dopiero!?

— Tak, dopiero.

Zrobiło mu się jakoś nagle smutno i żal tej Maryli. Wyglądała bardzo blado.

— Słuchaj! Ty się stanowczo zanadto przepracowujesz.

— Już się nie będę przepracowywać. Dostałam dziś wymówienie. — Uśmiechnęła się smutno.

— Jakie wymówienie? Co ty mówisz?

— Wymówienie z powodu redukcji. — Wargi jej zlekka zadrgały.

— To niemożliwe!

Stanisław zapomniał o wszystkim i oparł się o bramę:

— U Szacińskiego byłaś?

— Byłam.

— I co ci powiedział?

— Nic. — Usiłowała się uśmiechnąć. — Przecież ostatecznie kogoś musieli zwolnić.

— Tak, ale nie ciebie, przede wszystkim nie ciebie, bo ty i tak najwięcej pracowałaś z całego biura!

Nie odpowiedziała nic, tylko schyliwszy swą ciemną głowę, spojrzała na kwiaty:

— Jakie masz śliczne kwiaty! Twoja żona lubi kwiaty?

Stanisław zmieszał się, nie wiedzieć czemu. Mimowoli opuścił bukiet ku ziemi.

Jakiś mały promyczek słońca zawisnął na kasztanowatych włosach Maryli i, ześlizgnąwszy się po łagodnym, napoły jeszcze dziecięcym profilu jej twarzy upadł na bruk.

Zapytała, ale tak jakoś cichutko i spuszczać oczy:

— Czy wy szczęśliwi jesteście z sobą?...

— Tak, kochamy się bardzo.

Z trudem jednak wypowiedział te słowa. Pierwszy raz przy Maryli nie chciał mówić o sobie.

Jednakże, jakie ona ciężkie ma życie. Żadnej prawie młodości.

— Ty się nie bój dymisji. Ja będę mówił dziś z ojcem. To się na pewno jeszcze da odrobić, bo to jest albo jakaś pomyłka, albo poprostu świństwo Szacińskiego.

— Lepiej nic nie mów; będę ci bardzo wdzięczna. Poco łaska... Nie zgodziłabym się nawet już teraz... Będę szukała innej posady.

Mimowoli westchnęła, a następnie, jakgdyby się zlekła czegoś:

— Będę szukała, bo Leon wogóle pracować teraz nie może, chory jest, zdenerwowany.

Wyczuł w przelotnym jej spojrzeniu prośbę, by nie poruszał tego tematu. Przyrzekł jednak sobie, że jeszcze dziś rozmawiać będzie z teściem.

— Idziesz teraz do domu?

— Nie, przejdę się trochę.

Podawała mu swą drobną, szczupłą rękę i na ustach jej zawisł smutny uśmiech dziecka, ogromnie zmęczonego.

Gdy szła z początku szybko trotuarem, a potem zwiesiwszy nagle głowę, zwolniła kroku, patrzył tępym spojrzeniem na smukłą, przedziwnie subtelnie wyciętą jej postać, na luźną granatową spódniczkę, co spływała z jej szczupłych, jeszcze napoły chłopięcych bioder.

Znikła gdzieś w dymie aut i kurzu dorożek, a on powoli wstępował na schody, dziwiąc się kwiatom, które trzymał w ręku, i nie spostrzegłszy nawet, że jedyną swą białą różę uronił tam w bramie.

W mieszkaniu zastał teścia.

Był zadowolony bardzo z tej wizyty, już nie tylko dlatego, że mógł z nim od razu porozmawiać, ale i dlatego, że wizyta ojca zapobiegała jakimkolwiek

wiek erotycznym scenom z żoną. Nie czuł się już na siłach do czegoś podobnego.

Na szczęście i Helena ochłonęła już w zupełności. Nie była ona zdolna być przez czas dłuższy wcieleniem zmysłów. Była zwykłą, najzwyklejszą kobietą z tego gatunku, którego spotyka się tak wiele, a który tem się tylko różni od zwykłej prostytutki, że jest w nim więcej sprytu i zimnej równowagi.

Pani Helena Osowska odczuwała teraz nawet lęk, lęk przed własnem uniesieniem. Kobieta jest słabą istotą, nie umie być podłą bez zastrzeżeń.

...Chociaż Stanisław spodziewał się po swojej relacji spotkać się z oburzeniem teścia, z takim samym oburzeniem, jakie szarpnęło nim, gdy rozmawiał z Marylą — pomylił się jednak.

— No, więc czego chcesz właściwie ode mnie? — Pan teść nie zdawał się być ani przejęty, ani nawet zainteresowany.

— Chciałem prosić ojca, by ojciec pomówił w tej sprawie z Szacińskim. Przecież tak jej zostawić niepodobna.

— No dobrze, ale co to ciebie obchodzi?

— Obchodzi mię, bo zdaje się, że każdego powinna obchodzić czyjaś krzywda. Sądzę, że ojciec też...

Pan Rudziński wyjął z ust cygaro:

— Bądź tak łaskaw i nie odpowiadaj za mnie. To ja, zdaje się, mógłbym sądzić, że po tym awansie, jaki otrzymałeś, należy mi się jakieś podziękowanie.

— Przecież ja...

— Proszę cię, pozwól mi skończyć. Tego mam chyba prawo wymagać. Nie wnikam w to, czy ja słusznie wydalono, czy nie, to nie należy do mnie i nic mię to nie obchodzi. Ale proszę cię, czy ty, który się tak troskliwie zajmujesz losem jakiejś tam panny, rozmawiałeś już z Helą?

Stanisław nie zrozumiał pytania.

— No tak, pytam się, czy już rozmawiałeś, czy zastanowiłeś się nad tem, że będziesz miał dziecko i jakie stąd spłyną obowiązki?...

Stanisław pierwszy raz rozmawiał w ten sposób z teściem. Przy obiedzie był milczący i nie miał apetytu. Domyślił się, że już ojciec poskarżył się Helenie, i rozmyślnie unikał wzroku żony, który był pytający i jakby strwożony.

Strwożony wzrok! To zdarzyło się chyba pierwszy raz — Helena miała jakieś złe przecucia.

Co jego obchodzi wogóle ta Maryla?

Pierwszy raz zazdrość targnęła jej świadomością, zazdrość o człowieka, którego nie kochała, ale którego bądź co bądź przywykła traktować jako swoją własność.

I ona nie miała apetytu. Zmęczona tem wszystkim, co przeszła tego dnia, patrzyła wciąż z lekkim lękiem i zdziwieniem na Stanisława — pierwszy raz tak, jak kobieta patrzy na mężczyznę.

Nie kończąc obiadu i nie spojrzawszy nawet na nikogo, Stanisław wyszedł do swego pokoju. Siadł

przy oknie i, gwizdząc zcicha, patrzył na słońce, które za chwilę zniknąć miało za gzymsem sąsiedniej kamienicy. Nie myślał o niczem, był ani zły, ani wesoły.

— ...Hela się pyta, czybyś nie poszedł z nią na spacer?

Teś stał w drzwiach i patrzył z za szkła na Stanisława.

— Dobrze! Ojciec powie, że dobrze.

Wolno wstał z krzesła i wolno szedł do korytarza. Wziął swój kapelusz, podał płaszcz żonie.

— Ty nie weźmiesz palta?

— Nie.

— Będzie ci zimno.

— Nie będzie.

...Byli już gdzieś za mostem — koło Saskiej Kępy, a żadne z nich nie powiedziało jeszcze ani słowa. On nie był zły, ale jakiś obojętny, ona zaś próbowała postawić na swoim.

— Siądźmy! zmęczona jestem.

Siadła na jakimś kamieniu, a on stanął obok, nie czując się widać znużonym i milcząc ciągle. W oczach tylko promienie gasnącego słońca, co cicho konało za lasem, budziły mu jakieś błyski, wspomnienia dawnych marzeń, dawno zagłuszonych.

Patrzyła na niego z coraz większym lękiem i pierwszy raz usiłowała zrozumieć jego, a nie mogła.

Był od niej bardzo daleko i z poza szkła binokli,

w których załamywało się światło, usiłował spojrzeć daleko, gdzieś aż za całe te pola i aż za cały ten las.

Czuł się jak pies myśliwski, pies gończy, ujęty na łańcuch, który pomimo wszystko, nie może przywyknąć do obroży.

Uczuł, że dławi go w krtani, i mimowoli sięgnął dłonią do kołnierzyka. Uczuł ogromne znużenie jakgdyby po nadmiernym trudzie i uczuł, jak morze apatii wypełnia mu całe jestestwo.

Dlaczego? — Nie wiedział przecież nic jeszcze.

A jednak?... Patrząc na słońce, gasnące na horyzoncie, nie wiedzieć czemu, jał uprzytamniać sobie, jak wszystko w jego życiu stało się marną komedią.

Nie wiodło mu się! — Dobrze. Miał może inne od swych kolegów ambicje, projekty i plany; lecz czemuż te plany spełzały zawsze na niczem?

Słabem i nieudolnym były tylko marzeniem, a to, co uczynił, to, co było pracą, co było treścią jego dnia codziennego, zohydzał przed sobą przecież, przyjmawszy komiczną pozę, która świadczyć miała niby o wyższych, idealniejszych jego aspiracjach.

Nie skończył uczelni, by stać się agronomem, którym tak pragnął być kiedyś, gdyż sama już tylko potrzeba większego wysiłku zdołała przekreślić to wszystko.

Był później moment, że mógł się jednak wydzwignąć.

W wojsku!: w potyczkach, w bitwach, w pochodach, w szpitalach, pod strasznym tym murkiem

mentarnym — wśród tylu ogromnych doświadczeń — mógł przecież silną dłonią uchwycić ster swego życia. Nie zdołał.. Nie zdołał i później jeszcze!

Nie zdołał być urzędnikiem — zwykłym, a jednak normalnym i w miarę szczęśliwym człowiekiem, gdyż głupia poza nie dopuszczała, by w skromną swą pracę rchnął choć część siebie — on przecież — Stanisław Osowski!

Ha! Ha! I nieprawda, że nie mu się w życiu nie wiodło! Tegoś jeszcze nie pojął, biedny mój Stanisławie, lecz wiedz, że kimbyś nie był, na najskromniejszej nawet placówce mógłbyś po pracy odbytej, do syta i pełną piersią chłonąć to szczęście, jedno dla wszystkich, mój drogi!

Zazdrościłbym ci!

Zazdrościłby ci nawet szef twój najwyższy, sam pan minister, gdyby wracającemu po jakiejś sesji autem i skostniałemu, choć w futrze, przeciął na moment drogę jasny i ciepły promień, z okna ogniska twego domowego biegnący.

Tak!

Tylko widzisz — kiedyś spoglądał wkoło siebie, nie trzeba było z pozą i głupio przymrużać powiek, ale otwartą żrenicą patrzeć, nie wstydząc się tego, i sercem czytać otwartem.

Z Marylą, mój przyjacielu, nie byłbyś dziś za tym mostem!

A tak?...

Osowski wciąż stał, nieporuszony, nie słysząc nawet już teraz własnego swego imienia i tonu głosu swej żony:

— Stachu!

Nie słyszał.

— Stachu!

Spojrzał, jakby nie rozumiejąc, nie chcąc czy nie mogąc.

Nie wiedział przecież nic, lecz czuła w jego wzroku, że jest mu w tej chwili obcą, obcą zupełnie.

— Ty mię nie kochasz?

— Nie Kocham...? — Zamyślił się nad treścią tych słów — Nie, cóż znowu — Kocham!

Złękła się jego tonu.

— Słuchaj! będziemy mieć dziecko!

— Wiem o tem. — Poglądził ją po twarzy mimowoli ogromnie pańskim ruchem. I w nim, i w niej w tej chwili zaszła jakaś zmiana — mężczyzna na swoje, a kobieta na swoje wrócili stanowiska. Tylko tarcza słoneczna zupełnie już zgasła za lasem.

I cóż?... O takim samym może zachodzie słońca przyjdzie na świat to jakieś dziecko, i w księgi ludności jakiś inny urzędnik wpisze je pod nazwiskiem Osowski w tę samą, co Stanisława, rubryczkę, w sąsiedniej zaraz kratce.

W starej, zatłuszczonej księdze ojciec i dziecko zaznaczą się dwoma tylko śladami: metryką chrztu i aktem zejścia.



Nie to jest jednak ważne i nie to było celem mej książki.

Zostawić cię muszę samego, tu za tym mostem, biedny mój bohaterze; w mroku zapadającym, za chwilę już nie rozeznam twej twarzy.

I cóż, że żal mi ciebie?

Wiem przecież, że gdy wraz z żoną powrócisz do tego miasta, co błyska zdala tysiącem sztucznych świateł, będziecie skwaszeni jeszcze, lecz już pogodzeni.

Pocóż więc wszelkie nauki, które nanic się już nie zdadzą.

O dziecko twoje mi chodzi!

Jakież imię dać mu na chrzcie świętym! Zrodzone z grzechu i bezmyślności bez granic, niedziedziczące nic, a już w zarodku kłamstwo na świat niosące — cóż wyobrażać ma i czego ma być symbolem?!...

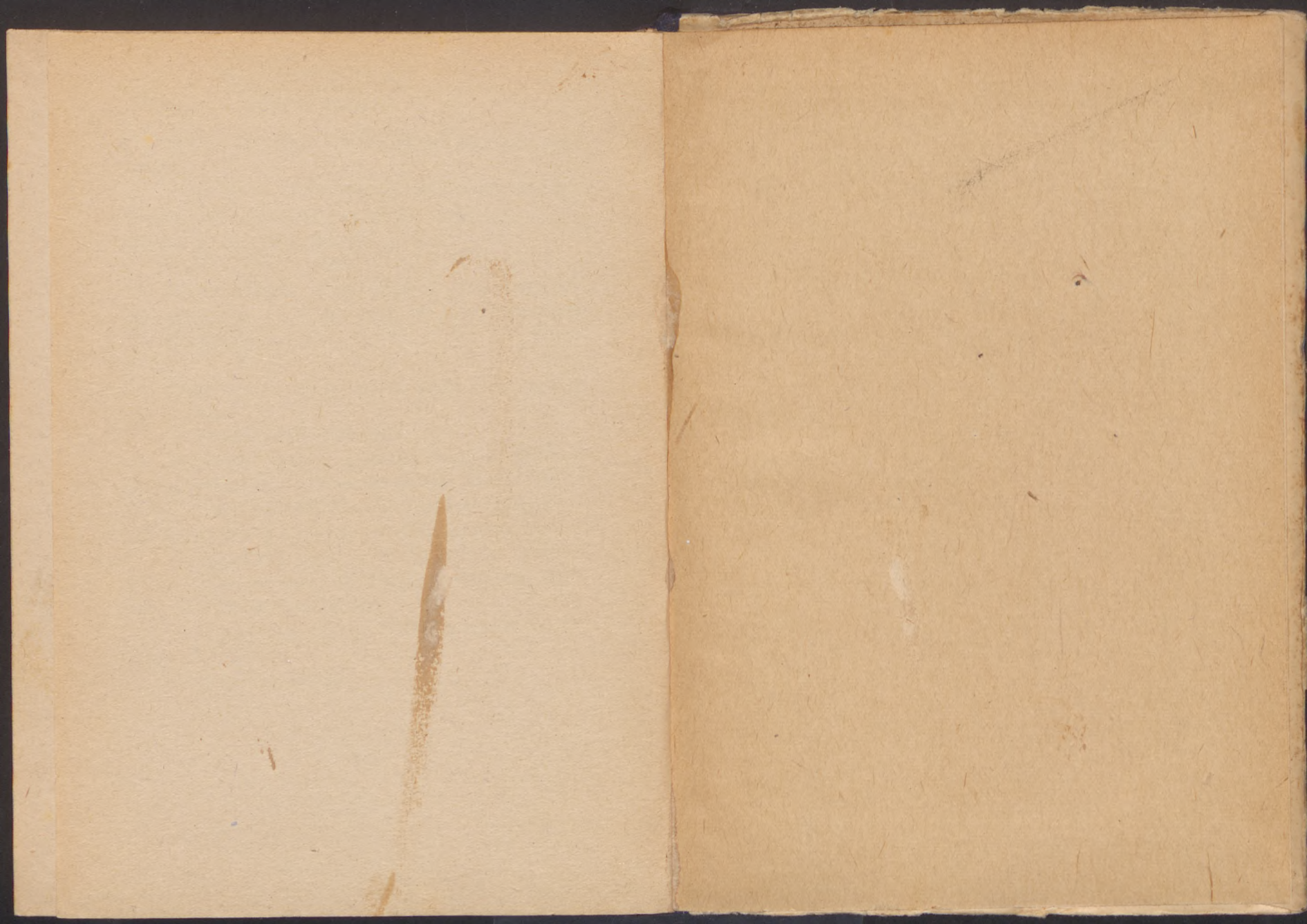
O! niema dla niego na chrzcie świętym imienia, i chyba tylko dać można mu numer porządkowy, martwy, nic niemówiący numer!

Taką bezduszną cyferkę bezwolną ręką wpisz do księgi, Stanisławie:

Nazwijcie je miljon!

K O N I E C





201

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

947912

Biblioteka Główna UMK



300043354813